


ADAM KUJTKOWSKI

Detroit, Mich.

409884

# W DOMU NIEWOLI



DRAMAT W PIĘCIU AKTACH NA TLE  
WALKI PARTYZANTÓW W POLSCE

WIOSNA 1942 ROKU

NAKŁADEM TEATRÓW LUDOWYCH  
przy Polskiej Sekcji M. Z. R.  
60 FIFTH AVENUE, NEW YORK, N. Y.

584524  
70  
AE  
ADAM KUJTKOWSKI

Detroit, Mich.



# W Domu Niewoli

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH NA TLE  
WALK PARTYZANTÓW W POLSCE

— Wiosna 1942 roku —

•  
NAKŁADEM TEATRÓW LUDOWYCH  
przy Polskiej Sekcji M. Z. R.  
80 FIFTH AVENUE, NEW YORK, N. Y.

WĘBA Horezowski

Wszelkie prawa przedruku w całości lub części oraz wystawiania sztuki zastrzeżone przez autora, Adama Kujtkowskiego.

All rights to reprint in whole or part or produce this play are copyrighted by the author, Adam Kujtkowski.

In any case write for written permission to Adam Kujtkowski, 5856 Chene Street, Detroit, Mich.



AE 940845

K: 157/07

## Od wydawnictwa

*Dajemy do użytku Teatrom Ludowym i masom widzów sztukę, odzwierciadlającą największą tragedję współczesnej wojny totalnej.*

*Widzowie, którzy przyjdą zobaczyć sztukę, to sędziowie, znający fakty; czytali dzień w dzień w prasie, słyszeli przez naocznych świadków, przez radjo, na salach lub innych okazjach.*

*Autor sztuki ujął tylko w całości masę luźnych, znanych nam epizodów. Za to jesteśmy mu wdzięczni, bo mamy cały wykończony obraz.*

*Szkice Grottgera, Panorama Ractawicka, stały się promykami tylko wobec szerokiej perspektywy współczesnych walk wojny totalnej.*

*Sztuka "W Domu Niewoli" to pierwszy mdławny zaledwie promyk, oświetlający wnętrze chaty polskiej, ścieżynę w bory, tę życiodajną matkę — siły do walki, nieustępliwej walki z odwiecznym wrogiem.*

*Wróg toczy swą wszechpotężną machinę wojenną po szosach i torach, lecz bory i zarośla zwięzają te szerokie drogi we własne kanaliki filtru, z którego nie wyjdzie wróg cały. . . . Wróg wścieka się i mści — lecz słabnie.*

*Widzu! Wsłuchaj się i pręż wzrok. Wróg słabnie . . . rwany partyzancką walką miljonowych mści-*

cieli krzywd. Idą oni pod komendę Janka i Wacka po zwycięstwo. Ex-ministrowie oburzają się, bo armje pod dowództwem chłopaków wsi płoszą zwierzyne w ich borach...

Nie jedna łezka spłynie pod wrażeniem sztuki. Lecz nie będą to łzy płaczków, ale determinacji. "Nasi cierpią tam w walce o ich i naszą wolność"... My z nimi! My... to ja kowal... to ja mechanik... to ja transportowiec... krawiec, szewc, to my ludzie rzemiosła i pracy budujemy taką machinę, która swą potęgą zmiażdży wroga, która pomści krzywdy naszej braci!

To nasza przysięga, o suchym oku, czy przez łzy!

Tylko przyjaciele faszyzmu zakwiczą; usłyszycie ich piskliwe tony. Zaklną "To Bolszewicy!" Tak ich fuhrer nauczył...

Tym, co zobaczą sztukę i tym, co nie będą mieli tej sposobności, oddajemy tę książkę. Niech Teatr i Książka rodzi mścicieli krzywd ludów dotąd, aż przewagą naszej siły zmiażdżymy faszyzm raz na zawsze!

TEATR LUDOWY

## OSOBY

1. Adam Rzepa — lat 26. Inwalida. Chodzi o kuli. Inteligent.
  2. Andrzej Rzepa — lat 56, czerstwy chłop, wąsaty.
  3. Wikta Rzepa — lat 50.
  4. Józef Rzepa—partyzant, nieogolony, wysoki, lat 28.
  5. Anna Zawada — lat 22, ładna.
  6. Bolek Zawada — lat 26, partyzant, mąż Anny.
  7. Marysia Bruzda — lat 20, energiczna, odważna, zdrowy typ.
  8. Sołtys Bruzda — lat 52.
  9. Wojciech Czerwonka — lat 66, łysy, siwe włosy. Podpiera się kijem.
  10. Doktor Brzeziński — lat 38, siwe włosy. Inteligent.
  11. Rudolf von Bock — lat 45. Gbur.
  12. Hans Miller — lat 21 (może być blondyn).
- Statyści: Dzieci, żołnierze niemieccy lub gestapowcy.



## W DOMU NIEWOLI

### AKT I.

#### SCENA I.

(Zwykła, wiejska izba. Z lewej strony pod ścianą stoi łóżko. Po prawej stronie widać kuchnię zastawioną garnkami. Tuż przy kuchni siedzi na małym stoleczku—Wikta. Łamie chróst i podkłada do kuchni na ogień. W głębi na długiej ławie siedzi Adam Rzepa, nauczyciel-inwalida. Obok niego czworo małych dzieci... Adam trzyma w ręku książkę. Dzieci patrzą uważnie na jego twarz... W ręku trzymają ołówki... — Nad łóżkiem wisi obraz M. B. Częstochowskiej.)

ADAM—Dzieci — zaczynamy lekcję... Podyktuję wam wyjątek z poematu Adama Mickiewicza. Poemat ten nazywa się "Konrad Wallenrod." Przeczytam z "Konrada Wallenroda" — Pieśń Wajdeloty... A później napiszemy dyktando...

DZIECI—Dobrze... (przytakuja główkami)

1. DZIECKO—Panie nauczycielu, co to jest—wajdelota?—

ADAM—Wajdelotami lud litewski nazywał poetów i pieśniarzy,

który wędrowali od wsi do wsi, od zamku do zamku, i śpiewali pieśni o dawnych dziejach. . . A teraz posłuchajcie pieśni wajdeloty.

Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,  
Jej przyjsie wieszca odgadnie żrenica,  
Bo, jeśli słuszna wajdelotom wierzyć,  
Nieraz na pustych cmentarzach i błoniach  
Staje widomie morowa dziewica,  
W bieliznie, z wiaskiem ognistym na skroniach,  
Czołem przenosi Białowieskie drzewa,  
A w ręku chustką skrwawioną powiewa. . .

Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją,  
A psy wieśniaków zarywszy pysk w ziemi,  
Kopią, śmierć wietrzą i okropnie wyją. . .

Dziewica stąpa kroki złowieszczemi  
Na sioła, zamki i bogate miasta,  
A ile razy krwawą chustką skinie,  
Tyle pałaców zmienia się w pustynie —  
Gdzie nogą stąpi — świeży grób wyrasta. . .  
Zgubne zjawisko. . .  
Ale więcej zguby  
Wróżył Litwinom od zachodniej strony  
Szyszak błyszczący ze strusiami pióry  
I płaszcz szeroki krzyżem naczerniony. . .  
Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,  
Niczem jest kłęska wiosek albo grodów —  
Cała kraina w mogiłę zapadła. . .

Ach, kto litewską duszę mógł osłonić?  
Pójdź do mnie. Siądziem na grobie narodów,  
Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić. . . (zamyka książkę)

2. DZIECKO — Niech pan nauczyciel czyta dalej. . .

ADAM — Jutro przeczytam dalej, lecz wy najpierw musicie nauczyć się na pamięć tej ślicznej pieśni. . .

1. DZIECKO — Ja się nauczę. . .

DZIECI — I ja, i ja, i ja. . . i ja. . .

ADAM — Cicho. . . cicho, dzieci. . . Ja wiem, że wam się ta pieśń podoba, ale powinniście wiedzieć, że Adam Mickiewicz przeszło sto lat temu ostrzegał naród polski przed zachodnim wrogiem,

który od wieków, posługując się wzniosłymi hasłami cywilizacji zachodniej i chrześcijaństwa, szedł na wschód, pałac i rabując, i "gdziekolwiek przeszły stopy takiego widziadła" tam jeno zgliszcza, ruiny i trupy pozostawały. . . Takim był ród krzyżaków od początku swego istnienia. . . A teraz będziemy pisać. . .  
Kiedy. . . zaraza. . . Litwę. . . ma uderzyć. . .

DZIECI — Litwę. . . ma uderzyć.

ADAM — Jej przyjsie wieszca — odgadnie żrenica.

## SCENA 2.

(Do izby wpada Anna, siostra Adama. Zadyszana, zmęczona woła na głos)

ANNA — Adamie. . . Adamie. Odeślij dzieci do domu.

ADAM — Co się stało? Dlaczego jesteś taka przerażona?

ANNA — Nic nie mów. O nic nie pytaj. Dzieci, idźcie do domu.

1. DZIECKO — Czy gestapowcy przyjechali do wsi?

ANNA — Tak. (dzieci zrywają się z ławek)

ADAM — Idźcie do domu, dzieci. . . Prędko. . . Prędko.

2. DZIECKO — Znów nam lekcję przerwali.

ADAM — Idźcie już. Lekcji dzisiaj nie będzie.

DZIECI — Do widzenia. . . (wychodzą)

## SCENA 3.

WIKTA — Anno, dziecko moje. . . dlaczego płaczesz?

ANNA — Mamo. . . Mateńko.

WIKTA — Co tobie? *Placzesz?*

ANNA — Ojca aresztowali. . .

ADAM — Kiedy?

WIKTA — Gdzie? Jak to się stać mogło?

ADAM — Ojciec do miasta pojechał.

ANNA — Ale gdy wracał, Niemcy aresztowali ojca w połowie drogi.

ADAM — Skąd wiesz o tem? *Kto ci to powiedział?*

ANNA — Marysia Sołtysów powiedziała mi o tem przed chwilą.

W jej chacie ojca naszego badają. Niedługo gestapowcy przyjdą tutaj. Podobno znaleźli w sukmanie ojca gazetki.

ADAM — Niestety. . . Psiakrew. . .

WIKTA — Trzeba schować chleb, bo go nam zabiorą te głodne niemieckie psy.

ANNA — Adamie, zniszcz książkę.

ADAM — To mój skarb, którego nigdy nie zniszczę.

ANNA — Chleb i książkę musimy ukryć.

WIKTA — Anno, idź do sąsiadów i zabierz ze sobą te skarby.  
Ja z Adamem zostanę w chałupie.

ANNA — Mówiła mi Marysia, że Niemcy bili ojca kolbami karabinów, gdy jechali przez wieś. Ludzie widzieli.

WIKTA — Idź już. . . Młoda jesteś, mogą połakomić się na ciebie. Mnie starej krzywdy nie zrobią. Nakryj się chustką.

#### SCENA 4.

WIKTA — Inaczej to się skończyć nie mogło. Wcześniej, czy później złapią każdego.

ADAM — Nie zawsze. Na Józka i Bolka już od dwóch lat polują i złapać ich nie mogą.

WIKTA — Józef i Bolek na nich polują. . .

ADAM — Mamo. . . Ja nie mogę zrozumieć, dlaczego ojciec dał się złapać? Przecież tyle razy szczęśliwie z miasta gazetki przynosił.

WIKTA — Ba, zapalił się do tej roboty aż strach. Ktoś musiał donieść, czy co?

ADAM — Ktoby to zrobił? Zeszłej niedzieli pod kościołem zdrając Bolesiuka chłopci kłonicami zatłukli, bo się połakomił na niemieckie obiecanki. Widocznie ojciec był nieostrożny.

WIKTA — (wygląda oknem) Jak oni powoli ojca przez wieś prowadzą. Biją kolbami karabinów. Boże, mój Boże. Daj nam siłę i moc wytrwania.

ADAM — Oby tylko nie wykryli tajnej drukarni w mieście.

WIKTA — Andrzej nie wyda nikogo. Wpierw język sobie odgryzie, w pierw płuca z piersi wypluje, zanim wyda innych.

ADAM — Trzeba będzie teraz zdwoić czujność, przestać uczyć dzieci, bo wieś będzie pod obserwacją. Mamo, czy to prawda, że partyzanci znajdują się w pobliskich lasach?

WIKTA — Baby we wsi gadały, ale czy to prawda — nie wiem.

ADAM — Gdybym miał zdrową nogę, zaraz przekonałbym się o tem.

WIKTA — Odsuń się od okna. Niemcy już na podwórko wchodzi. SZCZEKANIE PSA. (szepem) W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

ADAM — Oby tylko wytrwać. . . oby wytrwać. . . (silne pukanie do drzwi)

#### SCENA 5.

(Drzwi się otwierają. Andrzej pchnięty silnie wpada na scenę. Na twarzy widać ślady krwi. Za Andrzejem wchodzi Rudolf von Bock i gestapowcy.)

RUDOLF — Heil Hitler.

ADAM — (krzyczy przeraźliwie) Heil. . . heil. . . heil. . .

RUDOLF — Coś za jeden?

WIKTA — To warjat, panie inspektorze.

RUDOLF — Wyrzucić go za drzwi. (żołnierze wykonują rozkaz)

#### SCENA 6.

(Wikta podchodzi do Andrzeja i chustą ociera mu twarz.)

WIKTA — Andrzej.

ANDRZEJ — Cicho, matka. . . nie płacz. . .

RUDOLF — Kobieto, czy to twój mąż?

WIKTA — Juści, że mój.

RUDOLF — Gantz gut. . . (odpycha Wiktę) Złapaliśmy ptaszka, który śpiewać nie chce. W obecności samiczki może dziób otworzy. (Śmiech gestapowców) Baczość. (wyjmuje z teczki gazetkę) A teraz powiedz mi, przyjacielu, kto ci dał te piśmidła?

ANDRZEJ — Przecie pedziałem już, że na ulicy podniosłem.

RUDOLF — Na jakiej ulicy?

ANDRZEJ — A bo ja wiem.

RUDOLF — Przypomnij sobie.

ANDRZEJ — Kiej pamięci nijakiej nie mam. Podniosłem te gazetki, bo papier wart coś przecie.

WIKTA — Panie inspektorze, mój mąż jest niewinny.

RUDOLF — Wy wszyscy jesteście niewinni, baranki świętego ojca. Pytam po raz ostatni: kto wręczył tobie te piśmidła? O. . . te. . . Głos Wolności. . . Trybuna Ludu. . .

ANDRZEJ — Ja na ulicy podniosłem. Nie czytałem nawet.

WIKTA — Mój mąż jest niepiśmienny.

RUDOLF — Wy wszyscy jesteście niepiśmienni, ale ohydne oszczerstwa, obrażające największego obrońcę cywilizacji i kultury, Adolfa Hitlera, potraficie wypisywać na płotach, na ścianach domów i w ustępach. . . Bydlęta. . .

WIKTA — Ani ja, ani mój stary nie mamy nic wspólnego z tą robotą. Pracujemy na roli i tyła. Nie narzekamy nawet, bo przecie wojna.

RUDOLF — (siada na krześle, zapala papierosa) Ile macie ziemi?

ANDRZEJ — Siedem morgów.

RUDOLF — Hm. . . Przydałoby się wam drugie siedem i kawał lasu.

ANDRZEJ — Juści. . . przydałoby się.

RUDOLF — Gdybyś ty, chłopie, miał rozum w głowie, to kto wie, może ziemia znalazłaby się i pług nowy, brona, siewczarnia. Ch. . . My Niemcy mamy wszystko, ale dla przyjaciół.

WIKTA — (na stronie) Łże jak pies.

RUDOLF — Nasz firer otacza chłopów opieką.

WIKTA — (na stronie) W koncentracyjnych obozach.

RUDOLF — Nasz firer pragnie waszego dobra.

WIKTA — (a stronie) W zimnej mogile.

RUDOLF — (wstaje z krzesła) Gospodarzu, wskażcie nam drogę do tajnej drukarni, wydajcie nazwiska tych parszywych komunistów, którzy nazywają się patriotami — uczyni to, a ręczę słowem honoru, że będziesz wolny i nagroda cię nie minie.

WIKTA — Za kolczastymi drutami.

ANDRZEJ — Panie inspektorze, ja nie mam żadnej styczności z nikim. Te gazetki podniosłem na ulicy, bo papier wart coś przecie.

RUDOLF — Zastanów się, co mówisz. Daję ci dwie minuty do namysłu. Jeśli w przeciągu tego czasu nie odzyskasz głosu miłego moim uszom, to. . .

ANDRZEJ — To co?

RUDOLF — Nie wyprowadzaj mnie z cierpliwości.

ANDRZEJ — Możecie mnie bić i katować. Jesteście mocni, ale moc wasza nie złamie chłopskiego serca. W Berezie Kartuskiej brałem lekcje. Ani bat, ani groźby, ani obietniki. . . ani. . .

RUDOLF — (przerzywa) Milczeć.

ANDRZEJ — Uderz.

RUDOLF — Twardą masz skórę, niewolniku, twardszą niż podszwa mego buta. Ale Oświęcim, to nie Bereza Kartuska. W Oświęcimiu nasi chłopcy potrafią wycinać sfastyki z takiej chamskiej skóry. Powiedz, kto wręczył tobie te piśmidła?

ANDRZEJ — Ja nie wiem.

WIKTA — Andrzej. . . ludzie. . . miejcie litość. Bóg na was patrzy.

RUDOLF — Chłopcy, wyprowadzić tę jędzę do sieni i tam przeliczyć jej żebra.

ANDRZEJ — Precz. Nie ruszać mojej żony. Precz. (mocują się)

WIKTA — Andrzej. . . Bóg ich pokarze. Aaaaaa ratunku. . . pomocy. . . ludzie. . .

ANDRZEJ — Psy. . . zbrodniarze. Ja was tu trupem położę. Ja. . .

RUDOLF — Zagłuszyć wieprza. (uderzony w głowę, pada)

(Krzyżącą Wikte wyprowadzają do sieni i tam zaczynają bić.)

## SCENA 7.

RUDOLF — (śmieje się) Taki krzyk to dobre lekarstwo na całą gromadę. Trzeba tego barana otrzeźwić, niech i on usłyszy jak beczy jego owieczka. (Śmieje się. Bierze kwartę wody i wylewa na twarz Andrzeja). Wstawaj. Wstawaj. Coś tak gały wywalił? Wstawaj, baranie! (bierze A. za kołnierz i podnosi, kopiąc nogami)

ANDRZEJ — Wikta. . . Wikta. . . To jej płacz (za sceną Wikta płacze)

RUDOLF — W Boga, chamie, nie wierzysz. Za feniga sumienia nie masz. To z twojej winy płacze twoja żona. Będą ją bić tak długo, aż ci serce zmięknie.

ANDRZEJ — Ptfu. . . (spluwa pod nogi R.)

RUDOLF — Żadnej ogłady nie masz. Słyszysz, jak twoja żona błaga o litość? Ulituj się nad nią.

ANDRZEJ — (chwytając rękoma za głowę) Jezus. Maryja.

RUDOLF — Więc ta drukarnia komunistyczna mieści się gdzie?

ANDRZEJ — Ja nie wiem. (Za sceną płacz cichnie nagle.)

RUDOLF — Bydlę.

## SCENA 8.

(Na scenie zjawia się Gestapowiec.)

GESTAPO 1 — Panie inspektorze, melduję posłusznie, że ta baba zemdlą.

RUDOLF — W kubelku stoi woda. Ocucić i bić dalej.

GESTAPO — Jawohl. (Wykonuje rozkaz.)

## SCENA 9.

RUDOLF — Mieszkam w Polsce już dwadzieścia lat. Ale nie mogę zrozumieć tych chamów. Za rządów pana Mościckiego byłem komendantem policji w poznańskim. Mam więc doświadczenie w swoim zawodzie. Lecz zawsze, ilekroć zetknę się z tym elementem, czuję wstręt, patrząc na ich upór i tępotę odziedziczoną po dardanejskich osłach. Błagaj — nic nie po-



maga. Bij — będą skowyczeć jak ta baba, lecz pary z ust nie puszcza. Brak im kultury i cywilizacji.

ANDRZEJ — Tą kulturą i cywilizacją Hitler obdarzył takich jak ty kultur-tregerów. Jej dobrodziejstwa niesiecie całemu światu w podarunku.

RUDOLF — Świat powinien nam być wdzięczny, bo my uzdrawiamy go z choroby, która się zowie — demokracją — i ratujemy ludzkość przed zarazą, która się zowie — kominizmem — My jesteśmy lekarzami.

ANDRZEJ — Uzdrawiacie nas śmiercią. Wy jesteście lekarzami śmierci. Wy chcecie wytępić całą ludzkość.

RUDOLF — Niewolnicy nie mają prawa żyć.

ANDRZEJ — Bóg stworzył ludzi równymi.

RUDOLF — Kłamstwo żydowskie! Bóg stworzył panów i niewolników. Panom polecił sprawować rządy. Niewolnikom kazał pracować w posłuszeństwie.

ANDRZEJ — Błżnisz. Bóg cię ukarze.

RUDOLF — (Śmieje się.) Bóg mnie nie ukarze, bo ja walczę w jego obronie. Naród niemiecki pod wodzą firera zdobywa kraj bezbożników i na ostrzach bagnatów niesie zbawienie wieczne tym cuchnącym Moskałom. Hitler rozszerza panowanie Boga i Bóg da mu zwycięstwo.

ANDRZEJ — Niegdyś krzyżacy rozszerzali panowanie Boga i zginęli.

RUDOLF — My jesteśmy mądrzejsi od krzyżaków.

ANDRZEJ — Wasza mądrość nie ocali was przed pięścią słowiańskich ludów.

RUDOLF — (śmieje się) Zobaczmy, kto zwycięży. Niegdyś na wyspie Rugji i w okolicach Berlina żyły słowiańskie plemiona: Lutyków, Wilków i Obotrytów, a dzisiaj śladu po nich nie zostało. Taki sam los spotka wszystkie słowiańskie plemiona.

ANDRZEJ — Tamci zginęli, bo nie było między nimi jedności.

RUDOLF — (śmieje się) Bawisz mnie, chamie. Jedność słowian... hehehehe... Co za brednie.

ANDRZEJ — Dzisiaj ludy słowiańskie rozumiały w czym tkwi ich siła i w czym tkwi wasza słabość.

RUDOLF — Jakże może zapanować jedność między głupcami? . . . hehehehe. . . Głupota nigdy nie łączy ludzi, lecz ich dzieli. Na przykład w Stanach Zjednoczonych poczęto mówić o jedności Słowian, ale nam wystarczyło rzucić jedno słowo, że ta jedność

pachnie komunizmem i cały zamiar rozsypał się jak domek z kart. Tak, my jesteśmy mądrzy.

ANDRZEJ — Do czasu dzban wodę nosi. . . Do czasu. . .

## SCENA 10.

(Wchodzi Gestapowiec. Staje na baczność i mówi:)

GESTAPO — Panie inspektorze, ta baba zemdłała.

RUDOLF — Was? Znow zemdłała?

GESTAPO — Ja.

RUDOLF — Słuchaj, bezbożniku zarażony żydowskim trądem, po raz ostatni pytam.

ANDRZEJ — Nie trudź się. Możesz mnie zabić i moją żonę. Możesz spalić całą wieś, ale nie dowiesz się niczego.

RUDOLF — Dostyc. Hans. Wprowadź tę wiedzmę tutaj.

GESTAPO — Jawohl. (wychodzi)

RUDOLF — (przeglądając gazetki) Polski im się zachciało. . .

Cha, cha, cha. Chamom Polski się zachciało. . . — wolnej, demokratycznej i ludowej. Dla tej Polski cierpią, głodują i umierają. . . Co za głupcy? Trudno zrozumieć, żeby rasa niewolników miała takie wielkie aspiracje.

## SCENA 11.

(Wchodzi Gestapowcy, podtrzymując pod ramionami Wiktę, która wygląda strasznie. Mokra, podarta bluzka zwisa w strzępach. Kosmyki włosów przylgnęły do posiniaczonej twarzy. Jęczy. Oczy ma zamknięte.)

RUDOLF — (wybuchając śmiechem) Zobacz tę żydowską męczennicę. Mogłaby występować na Golgocie w roli Marji. . . Cha, cha, cha, cha. . .

ANDRZEJ — Szatani, coście zrobili. (podbiega do Wikty)

RUDOLF — Rzucić ją. (Podchodzi do stołu, wyjmując z teczki papiery i pisze.)

ANDRZEJ — Wycierpiałas. Bili cię. Ale to nic. . . to nic. . . To przecież dla tej, która powstanie chlebem i ziemią pachnącą — ojczyzna. Ojczyzna — dla tych, którzy walczą o nią, dla tych, którzy staną po nas. Będzie ona domem sprawiedliwości i świątynią prawdy.

RUDOLF — Brać go.

ANDRZEJ — Pójdę sam. Nie ruszać. Żonę na łóżku położyć.

RUDOLF — Brać go. (Żołnierze wykonują rozkaz. Anna pada na podłogę.) Zakuć w kajdany. Pojedziesz, durniu, do Oświęcimia. Za mną. (Wychodzą)

## SCENA 12.

(Słychać melodię na skrzypcach — Ave Maria — Schuberta. Wikta powoli unosi głowę. Klęka i pada. Podnosi się znowu i czołga na kolanach do obrazu M. B. Częstochowskiej. Trwa to przez 4 minuty, lub 3.)

WIKTA — (przed obrazem) Matko Niebieska, która patrzysz na nasze męki. . . (mówi powoli) Twój syn cierpiał dla naszego zbawienia i umarł z ręki faryzeuszów, którzy imię Boga nosili na ustach, jako i ci czarni szatani piekieł. Ukrzyżowali twego syna faryzeusze, bo nauczał maluczkich i pokornego serca niewolników. Umarł na krzyżu, ale krew jego spadła na głowy ciemiężycieli. Krew nasza spadnie na głowy współczesnych faryzeuszów. Przekłęci są i umrą pod ciężarem popełnionych zbrodni. (mdleje — muzyka cichnie)

## SCENA 13.

(Do izby wpada Anna i Marysia. Za niemi wchodzi Adam, podpierając się kulą.)

ANNA — Mamo. . . Mateńko.

MARYŚ — Olabogaświątego. . . (układają Wikte na łożku)

ADAM — Marysiu, przynieś wody. Anno, weź czystą chusteczkę. Mamo. . . Mamo. . .

ANNA — Zabili matkę. (płacze) Mamo. . .

MARYŚ — (wbiega do izby) Wodę przyniosłam. . . Ojeju. . . Ale Rzepową zbili.

ANNA — Mamo. . . mateńko.

WIKTA — Gdzie ja jestem?

ANNA — O, moja matuś kochana (całuje matkę)

WIKTA — To nic. . . to nic. . . Andrzej nie wydał nikogo. Twardy chłop kiej skała. Takim dawniej był i takim pomrze.

ADAM — Dokąd ojca zabrali?

WIKTA — Do Oświęcimia.

ANNA — Do Oświęcimia??

ADAM — Na dno piekła.

ANNA — Kto z tamtąd powraca? Nikt. . .

WIKTA — To za ojczyznę. . . za ziemię. . . za wnuków.

ANNA — Gdyby można było doktora przywieść.

WIKTA — Nie trzeba. . . Oooo. . . Wytlukli ze mnie wszystką moc, ale nie złamali — nie złamali chłopskiego serca. Kamień pęknie, ale chłopskie serce nigdy.

MARYŚ — Litości te niemce za grosz nie mają. Żeby tak kobietę zbić. Bodaj ich ziemia pochłonięła.

ANNA — Chciałam biec na ratunek, lecz ludzie nie dali. Biedna mama. Ojca zabrali. Widziałam jak go bili. Krew ciekła z pleców i twarzy, padał kroplami na ziemię. Och, kiedyż nareszcie odetchniemy wolnym powietrzem? Kiedyż skończy się to piekło?

WIKTA — Już niedługo. . . niedługo. Przyjdą mściciele naszych krzywd. Wyjdą z lasów jodłowych pułki całe, lśniące od stali. Wyjdą chłopci jak sosny wielgachne. Będziemy ich witać kwiatami i zielenią. Anno. Gdzie Józek i Bolek?

ANNA — Przecież mama wie. Obaj w Puszczy Białowieskiej na czele partyzantów psują tory kolejowe, wysadzają mosty w powietrze.

MARYŚ — Ludzie mówili, że Józek ze swoim oddziałem podkrał się pod Hajnówkę.

ADAM — Skąd wiesz o tem?

MARYŚ — Skąd wiem, to wiem. . .

ANNA — Gdyby to była prawda, dałby Józef znać o sobie.

MARYŚ — Ludzie mówią, że prawda. Jeden znajomek miał nawet widzieć Józka i Bolka.

ANNA — Miał widzieć Bolka — mojego męża?

MARYŚ — Juści.

ADAM — Nie chce mi się w to wierzyć.

MARYŚ — Mój tatulo jest sołtysiem we wsi, a gdy mu o tem powiedziałam, uwierzył odrazu.

ADAM — Eeee. Nie wychodziliby oni z puszczy w taki czas.

MARYŚ — A "bez co" mieliby nie wychodzić? Czy to ludzie nie są dla nich łaskawi? (Anna drze szmaty i robi bandażę) Witają ich wszędzie i w gościnę nawet zapraszają.

ADAM — Ale trudno mi uwierzyć, żeby partyzanci mogli podkraść się tak blisko naszej wsi.

MARYŚ — Co ty tam wiesz! Nasi chłopcy wszystko potrafią, gdy chcą.

WIKTA — Juści. . . juści.

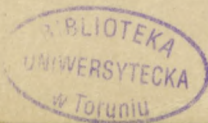
ANNA — Lepiej mamie?

WIKTA — Bogać tam lepiej. Głowa mnie boli.

ANNA — Marysiu — pojedziesz po doktora.

MARYŚ — Tatula się zapytam.

WIKTA — Adamie. . . pamiętasz. . . w tej Puszczy Białowieskiej



panowie polscy polowali z Niemcami na dziki i jelenie.  
ADAM — Dzisiaj chłopci polscy polują tam na Niemców.

K U R T Y N A.

Muzyka gra: „O cześć wam panowie magnaci.”

Cześć Druga.

#### SCENA 14.

(Adam siedzi przy stole i pisze. Anna poprawia poduszkę pod głową Wikty).

ANNA — Mamo . . . doktor niedługo przyjdzie.

WIKTA — Doktor? A poco? Znów wydatek będzie . . .

ANNA — Posłałam Marysię Sołtysównę po doktora. Pojechała. Dałam jej kilka jajek i gałkę masła. Za takie skarby doktor przyjdzie.

ADAM — Cud się stanie, jeśli ujrzę doktora w tej chałupie.

ANNA — Zobaczysz — to nasz dobry znajomy. Ciebie leczył, gdy byłeś ranny w nogę.

ADAM — Brzeziński? Więc go Niemcy wypuścili z obozu?

ANNA — Zwolnili wszystkich doktorów, bo rannych faszystów liczyć można na kopy. Musi ktoś leczyć rasę panów.

ADAM — Hm. . . Ale Brzeziński jest Żydem.

ANNA — Jak bieda to do Żyda. Dla rannego Niemca i Żyd jest człowiekiem.

WIKTA — Anno, podaj mi wody. Czuję taki szum w głowie. . . taki szum. . . Czy to czołgi jadą,

ADAM — Przyjadą, mamo, już niedługo wielkie, ciężkie czołgi umajone zielenią i kwiatami.

ANNA — Do wiosny jeszcze daleko. Nie wyrosły kwiaty na ich powitanie.

ADAM — Robotnicy amerykańscy przyspieszą nadejście wiosny. Czytałem w „Głosie wolności”, że w Detroit fabryki będą puszczane w ruch na całą parę. Niewstrzymany strumień czołgów, armat i bombowców popłynie na wszystkie anty-faszystowskie fronty. A nasi rodacy w Ameryce dadzą przykład innym jak należy pracować. Lecz . . . jakie to wszystko dziwne. . . jak się zmieniają czasy i ludzie . . .

ANNA — Co chcesz powiedzieć?

ADAM — Był czas, gdy głąskano nazistowskiego gada. Dawano mu wszystko, by zapchać mu gardziel.

ANNA — Ludzie proszą, tacy jak my, nie przykładali ręki do tej zbrodni.

ADAM — Bo wiedzieli, że „krzyżackiego gada nie ugłaszczę. Nikt ni gościłą, ni prośbą, ni dary.

Małoz Prusaki i Mazowska cary

Ziem, ludzi, złota wepchnęli mu w paszczę?

On wiecznie głodny, choć pożarł tak wiele,

Na resztę naszą rozdziera gardziele . . .

ANNA — Zapomniano wówczas o mądrej przestrodze naszego wieszczu, Adama Mickiewicza.

ADAM — Zapomniał Paryż i Londyn, Waszyngton i Warszawa. Był czas, gdy pod Madrytem w Hiszpanji można było wykopać grób dla faszyzmu. Ale to już minęło . . .

ANNA — A ślepy miecz spadł na nasze karki. Znajdą się może tacy, co poczną wołać:

Ależ — o, Panie, oni nie winni,

choć naszą przyszłość cofnęli wstecz.

Inni szatani byli tam czynni,

więc rękę karaj — nie ślepy miecz. . . .

ADAM — Był czas, gdy przeciw tym szatanom kującym miecz, przeciw tej ręce, chwytającej nas za gardło — podnosiliśmy głos. Gdyby ta ręka uschła, miecz bezsilnie opadłby pod nasze stopy. Dzisiaj trzeba ten miecz, zboczony krwią matek i dzieci, złamać, roztrzaskać w kawały, a ręka uschnie i nie wzniesie już nigdy drugiego miecza przeciwko nam.

WIKTA — Tyle krwi, tyle łez, tyle męki . . .

ADAM — Za wolność płacić trzeba drogo. Łatwo ją utracić, lecz odzyskać trudno.

ANNA — Ponosimy ofiary zbyt wielkie.

ADAM — Ofiary, jakie ponosimy, ocalą ludzkość od zagłady i śmierci.

ANNA — (PUKANIE DO DRZWI) Doktor przyjechał. Proszę wejść.

#### SCENA 15.

(Do izby wchodzi doktor.)

DOKTOR — Dzień dobry.

RAZEM — Dzień dobry.

DOKTOR — Adam, witaj przyjacielu. Jak się czujesz? (ZDEJMUJE PALTO)

ADAM — Chwalić Boga . . .

DOKTOR — To dobrze. No, a jak tam chora? A, zobaczymy, zobaczymy. (OTWIERA WALIZECZKĘ)

ANNA — Puścili pana Niemcy?

DOKTOR — E, jakoś mi się udało wykraść za roгатki i przyjechać tutaj. Z tej Marysi to bardzo roztropna dziewczyna. To ona przemyciła mnie przez roгатki. A teraz poi konie. Tak, tak . . . Nie spodziewałem się, że zastanę panią Rzepową w tak dobrym zdrowiu, bo to, co mi Marysia opowiadała (OGLĄDA TERMOMETR) nie wróżyło nic dobrego . . .

ANNA — Nic mamie nie będzie?

DOKTOR — Zobaczymy. Jeśli nerki nie są odbite, to wszystko będzie dobrze. Tak.

WIKTA — Bili mnie, gdzie popadło . . . kopali nogami . . .

ANNA — Ojca Niemcy zabrali do Oświęcimia.

DOKTOR — Hm . . . źle . . .

ADAM — Co źle?

DOKTOR — Nic, nic. . . Źle, że ojca waszego zabrali. Adamie, matka pana wyzdrowieje, lecz nie wolno jej schodzić z łóżka. Musi leżeć i nie ruszać się. Przywiozłem ze sobą lekarstwa. Zostawię tutaj. Przepis użycia jest na buteleczkach.

ANNA — Już?

DOKTOR — Już . . . Nabrałem wprawy w leczeniu pacjentów. Codziennie badam setki rannych i chorych Niemców. Są to przeważnie żołdacy ze wschodniego frontu.

ADAM — Rosyjska łaźnia zrobiła swoje.

DOKTOR — Ja też się czuję jak w rosyjskiej łaźni.

ANNA — Był pan doktor w obozie koncentracyjnym?

DOKTOR Rok czasu załedwie. Posiwałem, zestarzałem się, lecz rozumu nie straciłem. Nie mówmy jednak na ten temat.

ADAM — Co w mieście słyhać, panie doktorze?

DOKTOR — Ludność cywilna cierpi straszne męki. Ostatnio władze niemieckie kazały wyrzucić na ulicę ze szpitali i domów chorych Polaków. Gestapo wyrzucało na bruk ulicy starców, dzieci, kobiety. Nie miano względów dla ciężarnych matek. Widziałem jak rodziły w rynsztokach.

ANNA — Jakie to straszne!

DOKTOR — Ha, cywilizacja i kultura wyższej rasy stoi na bardzo wysokim poziomie. Ale już muszę odejść. (UBIERA SIĘ)

ADAM — Ile jesteśmy panu winni?

DOKTOR — Co takiego? Nie słyszałem.

ADAM — Bardzo przepraszam.

DOKTOR — Bądźcie zdrowi. Anno, pamiętaj, że matce nie

jeno, że między tymi partyzantami pewnikiem muszą być chłopcy z naszej wsi.

ADAM — Bardzo możliwe. Nasi chłopcy znają teren okoliczny doskonale, więc nic dziwnego, że Niemców zaskoczyli zniemacka.

MARYSIA — Juści . . . ale komu w drogę, temu czas.

ANNA — Odchodzisz?

MARYSIA — Tak. (ŚMIEJE SIĘ) Gdy człek taką wiadomość usłyszy, na miejscu spokojnie nie usiedzi. Ostańcie z Bogiem.

ADAM — Zaczekaj.

MARYSIA — Na dworzu ciemno, a jeszcze całą wieś oblecieć muszę. . . Paaa . . .

### SCENA 18.

ADAM — Przyjdź jutro. A, istny ogień. Kochana Marysia. . .

ANNA — Radosna nowina. Może mój Bolek przyjdzie. Kto wie.

ADAM — Anno, daj matce pigułkę, a ja zacznę pisać, bo czas ucieka.

ANNA — Lepiej mamie?

WIKTA — Trochę lepiej, ale nie całkiem.

ANNA — Adamie. . .

ADAM — Co takiego?

ANNA — Dlaczego garstka nieliczna zapaleńców poświęca się za cały naród? Dlaczego masy ludu nie staną przeciw okupantom z bronią w ręku?

ADAM — Czas nie nastał. Patrz na wschód, Anno . . . Patrz na wschód. . .

ANNA — Codziennie po kilka razy wychodzę na drogę i patrzę na wschód, ale nie widzę zwiastunów wolności.

WIKTA — Wyjdą z lasów jodłowych pułki całe, lśniące od stali. Wyjdą chłopci jak sosny wielgachne. Obaczysz.

ANNA — Kiedy? Kiedy?

ADAM — Nie trać wiary.

ANNA — Nie tracę jej, lecz zbyt wiele nieszczęść spadło na mnie. Ojciec w obozie, matka chora, ty jesteś inwalidą, Józek i Bolek gdzieś w puszczy i bagnach walczą. Od dwóch lat nie było ich w domu. Może już nie żyją . . .

ADAM — Takich jak ty i takich jak oni są tysiące, setki tysięcy. W odległości dziesięciu kilometrów dali znać o sobie. Tacy jak oni krzepią wiarę w sercach czynami. Ale już dość tej gadaniny. Opanuj się.

WIKTA — Śnił mi się Andrzej. Mizerny był i bladej kiej ściana. Oczu nie miał jeno dwie czarne jamy . . .

ANNA — Niedobry sen . . .

ADAM — Sen mara, Bóg wiara. Ktoby się tam dzisiaj snami przejmował?

ANNA — (PUKANIE DO DRZWI) Ktoś puka? Trzeba zobaczyć . . . Może Gestapo . . .

ADAM — Kto tam? Nikt się nie odzywa. Hm . . . dziwne . . . gdyby to byli Gestapowcy, nie pukaliby tak grzecznie. Kto tam?

BOLEK — (głos za drzwiami) Swój . . . Otwieraj!

ADAM — Hasło.

BOLEK — Warszawa.

ADAM — Odzew.

BOLEK — Pobudka.

### SCENA 19.

(Do izby wchodzi partyzanci. Granaty za psadem. Obrośnięci. Witają się. Krzyczą z radości.)

GŁOSY — Bolek, Józek, Adam, Anna, mamó, matėńko . . . itd.

JÓZEK — Gdzie jest ojciec? (MILCZENIE) Dlaczego milczycie?

ANNA — Ojciec poszedł na wieś.

JÓZEK — Na wieś o tej porze? Anno, ty coś ukrywasz przede mną.

ANNA — Nie . . . ja nie ukrywam . . . ja . . . nie . . .

WIKTA — Powiedz prawdę . . .

ANNA — Ojca naszego Niemcy zabrali do Oświęcimia . . .

JÓZEK — Do Oświęcimia?

BOLEK — Co ty mówisz?

JÓZEK — Jezus, Maryja . . . Oszaleć można!

ANNA — Matkę zbili . . . leży teraz chora.

BOLEK — Józek, zapłacimy tym draniom i za ojca i za matkę.

JÓZEK — Zapłacimy . . . ooo . . . zemsta będzie straszna . . .

Przysięgam, że każdego nazistę, który wpadnie w moje ręce obedrę ze skóry jak zająca.

BOLEK — Za co Andrzeja skazali?

ADAM — Za kolportaż. Rozpowszechniał nielegalne pisma.

JÓZEK — A matka . . . co matka zawiniła, że ją tak zbili?

WIKTA — Nic nie zawiniłam . . . Kopali mnie . . .

ANNA — Gestapo chciało wymusić od ojca zeznania, by wydał innych i wskazał miejsce, w którym mieści się drukarnia, ale ojciec odmówił.

JÓZEK — Rozumiem. Dlatego bili matkę, żeby ojcu serce zmiękło. Anno. Anno! Podaj mi wody. Podaj mi cały kubek wody. Prędko! Postaw na stole . . .

ANNA — POCO?

JÓZEK — Głowę zanurzę . . . (ZANURZA GŁOWĘ W KUBLE) Brrr . . .

WIKTA — Lepiej ci teraz?

JÓZEK — Lepiej. Podaj mi ręcznik . . .

ADAM — Skąd wracacie?

BOLEK — Z roboty. Zniszczyliśmy tor kolejowy i pociąg z wojskiem.

ANNA — To Marysia powiedziała prawdę.

JÓZEK — Leżą Niemcy na śniegu jak barany . . .

WIKTA — Wracajcie do lasów. Boję się o was.

JÓZEK — Zaraz pójdziemy. Przynieśliśmy trochę żywności dla mamy.

WIKTA — Nam nie trzeba, bo może wy jesteście głodni? Zabierzcie . . .

BOLEK — Jedzenia nam nie brak, bo je zdobywamy na Niemcach. Tam w węzłku znajduje się kiełbasa i słonina, trochę konserw i sucharów . . . Ty, Anno kochana, odżywiaj się, bo źle wyglądasz . . .

ANNA — Nie gorzej od ciebie, mizeraku . . .

JÓZEK — Adamie, chcę ci powiedzieć ważną rzecz.

ADAM — Co mianowicie?

JÓZEK — Bądźcie w pogotowiu. Niech chłopci ostrzą kosy i osadzają na kosiskach. Żniwa w tym roku zaczną się bardzo wcześniej.

ADAM — Rozumiem.

JÓZEK — Ludzie witają nas z otwartymi ramionami. Wszyscy pytają: kiedy? W całym kraju wre jak w garnku.

ADAM — Masz jakie wieści z Sowietów?

JÓZEK — Na wiosnę Sowiety rozpoczną wielką ofensywę. Z drugiej strony Ameryka i Anglja rzuca do boju świeże siły. Uważacie . . . (szepcze)

BOLEK — Anuś . . .

ANNA — Jak to było z tym torem? Mówisz, że zaskoczyliście Niemców zniemacka?

BOLEK — Raczej spodziewali by się diabła niż nas. Wybiliśmy granatami wszystkich, ani jeden nie uszedł z życiem. Potem rozkręciliśmy szyny. Robota paliła nam się w rękę, a

rezultat był niespodziewany — dwadzieścia wagonów wypchanych  
żołdactwem, jadącym na wschodni front, znalazło grób na pol-  
skiej ziemi.

ANNA — Nie lękacie się pościgu?

BOLEK — Zanim nas zaczną ścigać będziemy daleko — w bez-  
piecznym miejscu.

WIKTA — Dokąd wracacie?

BOLEK — Do Puszczy Białowieskiej. Odchodząc zostawiliś-  
my nazistom zaproszenie.

ANNA — Jakie?

BOLEK — Zapraszamy szanownych panów na polowanie do  
Białowieży.

ADAM — Nie brak wam humoru, jak widzę.

ANA — Taka jestem rada, że mnie odwiedziłeś, mój ty drogi,  
jedyny, kochany.

BOLEK — Chciałem to uczynić poprzednio, ale sytuacja była  
inna. Ludzie bali się nam pomagać. Dzisiaj nikt lęku nie  
czuje. Partyzanci mają otwarte drzwi wszędzie.

ANNA — Jak ja tęskniłam za tobą.

BOLEK — Kochasz mnie jeszcze?

ANNA — Nie pytaj . . . (CAŁUS)

JÓZEK — Adamie, pamiętaj o tem, co ci mówiłem. W razie  
niebezpieczeństwa daj nam znać przez Jaśka Przaśnego.

ADAM — Rozkaz.

JÓZEK — Która godzina?

ANNA — Dwunasta.

BOLEK — Czas w drogę . . . Żegnaj, Anno. Bywaj zdrów, A  
damie . . .

JÓZEK — Wrócimy, mamó, nie martw się o nas . . .

WIKTA — Niech was Bóg prowadzi, dzieci moje . . .

JÓZEK — Ostańcie z Bogiem . . . (ŻEGNAJĄ SIĘ I WYCHO-  
DZĄ)

## SCENA 20.

ANNA — Poszedł, mój Bolek . . . mój . . . (płacze)

WIKTA — Nie płacz, Bolek powróci . . .

ANNA — Ja nie płaczę dlatego, że on poszedł walczyć, lecz płą-  
czę, bo za nim iść nie mogę . . . Lecz gdy mama wyzdrowieje,  
to ja pójdę . . .

WIKTA — Kładź się spać.

ADAM — Zgaś światło.

KONIEC AKTU I

## KURTYNA

(MUZYKA) Może być naprzykład: "Hej strzelcy wraz nad  
nami orzeł biały."

## AKT 2.

### SCENA 1.

(Wszyscy śpią. Adam leży na ławie okryty sukmaną. Anna  
spoczywa na łóżku u stóp matki. W izbie półmrok.)

RUDOLF — (po chwili; łomotanie do drzwi) Otwieraj, otwie-  
raj!

ANNA — (WSZYSCY ZRYWAJĄ SIĘ — prócz Wikty) A-  
damie, odsuń zasuwkę, bo Niemcy drzwi wywalą. O, jak mi  
ręce drżą . . .

RUDOLF — Otwieraj!

ADAM — Otwieram, otwieram . . .

RUDOLF — (wchodzi) Heil Hitler! Cóż to? — nikt nie odpo-  
wiada na moje powitanie? Co to ma znaczyć? Aaa . . .?

ANNA — W naszym kraju panuje zwyczaj ~~bardzo~~ *bardzo* stary, że  
jeśli kto wchodzi ~~do izby~~, pozdrawia obecnych słowami:  
"Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus."

RUDOLF — Niech będzie pochwalony . . . Cha, cha, cha . . .  
Co za brednie?! Ale dość tego. Obecnie w Ostlandzie panu-  
ją inne zwyczaje i czas już je przyjąć.

WIKTA — Panie inspektorze . . . *To 702 to potrzebne dla*

RUDOLF — Ruhig! Ani słowa więcej! Nie przyszedłem tu-  
taj udzielać wam lekcji. Hans! Adolf! — do mnie! — Wyrzu-  
cić tę chorą jędzę z łóżka. Tam w sieni miejsca jest dosyć!

ANNA — Jezus, Marja! Proszę nie ruszać mojej matki.

ADAM — Doktor zabronił jej wstawać z łóżka.

ANNA — Nasza matka ma nerki odbite!

ADAM — Nie popełniajcie zbrodni!

RUDOLF — Milczeć! ~~Chłopey wykonać rozkaz.~~

ANNA — Kaci, co robicie?! Mamo! Mateńko!

WIKTA — Ooo . . . Matko Bolesna! Ojjj . . . (żołnierze wyno-  
szą Wiknę)

RUDOLF — Zaczekaj — piękna panno i ty, kulawy kawalerze,  
Chcę z wami porozmawiać.

ADAM — W sieni jest zimno. Nasza matka zmarznie. Niech  
pan zrozumie!

RUDOLF — (uchyla drzwi i krzyczy za odchodzącymi) Za-  
nieść tę kobietę do ~~świńskiego~~ *świńskiego* chlewa!

ANNA — O, Boże . . . O, Boże . . .

RUDOLF — Jestem dla was zbyt dobry i łagodny. Powiniennem i tobie strzelić w łeb! W odległości dziesięciu kilometrów od tej wsi jacyś bandyci zniszczyli tor kolejowy.

ADAM — My o niczym nie wiemy.

RUDOLF — Gantz gut! Ale poniesiecie wszelkie konsekwencje. Na zepsutym torze wykoleił się pociąg, wiozący niemieckich żołnierzy na front wschodni.

ANNA — Panie inspektorze, tam w chlewie nasza matka . . .

ADAM — Niech pan pozwoli zaopiekować się naszą matką.

RUDOLF — Nie pozwalam. Za chwilę w tej izbie zjawi się ranny bohater z nieustraszonej Luftwaffe. Jest to osobisty przyjaciel Hermana Goeringa. Tu w waszej izbie umieszczę rannego. Proszę zmienić pościel na łóżku. Piorunem!! (Anna wykonuje rozkaz) Pozwalam te brudne łachy zanieść waszej matce do chlewa.

ANNA — (płacząc) Adamie, weź to prześcieradło i zanieś . . .

RUDOLF — Hej, ty! Wróć! Nie wolno tobie wchodzić do tej izby. Możesz odejść. (ADAM WYCHODZI)

## SCENA 2.

(Anna ściele łóżko. Rudolf siada na krześle, wyjmując butelkę z wódką.)

RUDOLF — Ani chwili spokoju nie mam. Jedynie wódka podtrzymuje mnie na siłach (PIJE). Codziennie walczyć trzeba z tymi niewidzialnymi djabłami polskimi, którzy kryją się w lasach i niedostępnych bagnach. Ach, gdybym mógł wyśledzić ich kryjówki . . . Najlepiej byłoby wystrzelić wszystkich Polaków i byłby spokój.

ANNA — Już łóżko przesłałam.

RUDOLF — Gut. Słuchaj, panno, będziesz doglądać rannego lotnika. Ale ostrzegam, że jeśli rannemu choć włos z głowy spadnie — ty i cała twoja rodzina zapłaci życiem. . . .

ANNA — Rozumiem.

RUDOLF — Cała wieś zamieniona zostanie na szpital. Już odpowiednio rozkazy wydałem sołtysowi Bruździe. Doktor Brzeziński będzie opatrywać rannych, którzy muszą wyzdrowieć, bo ja tak chcę. (PUKANIE DO DRZWI) Kommen!

(do izby wchodzi Gestapowiec)

GESTAPO — Panie inspektorze, melduję posłusznie, że przywieziono rannego porucznika — Hansa Millera.

RUDOLF — Gantz gut.

## SCENA 3.

(Żołnierze wprowadzają, lub wnoszą rannego lotnika i kładą na łóżku. Ranny ma ściśle owiniętą bandażem głowę i twarz. Do izby wchodzi doktor Brzeziński.)

RUDOLF — Doktorze, roztoczysz opiekę nad rannym bohaterem Trzeciej Rzeszy. Jeśli ranny umrze, życie twoje nie będzie złamanego feniga. Verstehen Sie?

DOKTOR — Porucznik Hans Miller wyzdrowieje, bo rana nie jest ciężka, lecz obawiam się, że może stracić wzrok . . .

RUDOLF — W takim razie i ty oślepniesz.

DOKTOR — Panie inspektorze, przecież ja nie żyję za czasów Hammurabiego. W starożytnym Babilonie na 3000 lat przed Chrystusem obowiązywały doktorów takie prawa . . .

RUDOLF — Historia się powtarza . . . Cha, cha, cha . . . Auf wider sehen.

DOKTOR — Gdzie wasz postęp? Gdzie wasza cywilizacja i kultura? Goethe i Schiller przewracają się teraz w grobach.

RUDOLF — Goethe i Schiller — cha, cha, cha . . . —dwaj głupcy, dwaj romantycy i marzyciele. Partja nazistowska już dawno splunęła na groby tych dwóch durniów. Dla nas Baldur von Schierach, gromowładny Wodan, namiętne Walkirie są uosobieniem piękna i mądrości . . .

Słuchaj, Salomonie synu Dawida — Hans Miller musi być zdrow jak ryba. W przeciwnym razie ty już nigdy nie zobaczysz smażonej ryby! (HANS MILLER JĘCZY)

DOKTOR — Obudził pan rannego. Proszę mówić ciszej. Anno, podaj mi eter i watę. (ANNA WYKONUJE POLECENIE)

RUDOLF — Aaaa . . . Jak to mogło się stać, że taka zdrowa i zgrabna dziewczka pozostała do tej pory w Ostlandzie. . . Hm . . . Trzeba ją będzie odesłać do Odessy, bo tam nasi chłopcy aż piszczą za takimi jałówkami. Ale wpierv ja się z nią zabawię. Ile masz lat samiczko?

ANNA — Dwadzieścia dwa.

RUDOLF — Hm . . . w sam raz zdatna pod nóż . . . tylko trochę za chuda. Ale to nic — otyje jeszcze (ziewa). Spać mi się chce . . . Pójdę zdrzemnąć się . . . Auf wider sehen . . . (wychodzi)

SCENA 4.

ANNA — Doktorze, przyjacielu drogi, ratuj moją matkę, która w świńskim chlewie na barłogu wije się w boleściach. Idź natychmiast. Jeden zastrzyk może zmniejszyć jej cierpienia.

DOKTOR — Bądź cierpliwa, Anno. Wymknę się pokryjomu, ale nie teraz . . .

ANNA — Doktorze, czy mojej matce nic nie będzie?

DOKTOR — Nie wiem.

ANNA — Powiedz! Nie ukrywaj przede mną prawdy.

Ja wiem, że moja matka umrze, bo ma nerki odbite. Zabroniłeś jej wstawać z łóżka, lecz przyszli ci podli synowie piekieł i wyrzucili matkę jak zmięty łachman. Doktorze, powiedz, czy moja matka długo cierpieć będzie?

DOKTOR — Ja nie wiem.

ANNA — Ty tchórz! — przestraszyłeś się grózb Rudolfa von Bocka. Przyjaciół poznaje się tylko w nieszczęściu.

DOKTOR — Zadałaś mi temi słowy bolesny sztych w serce, ale ja nie gniewam się. Ja rozumiem, ja wiem . . . i ja miałem matkę . . .

ANNA — Ratuj więc, ratuj! Ona tam czeka na twoją pomoc. Idź!

DOKTOR — Cóż ja mogę twojej matce pomóc? Nie jestem wszechmogącym.

ANNA — Więc moja matka umrze?

DOKTOR — Bóg jedynie może ją ocalić.

ANNA — Ja mam się modlić!? Ale do kogo? Gdzie jest Bóg? Gdzie jest miłosierdzie i sprawiedliwość? Słowa zaschły w gardle jak strupy krwi na gnijącym ciele.

ANNA — (po chwili): Doktorze . . .

DOKTOR — Słucham.

ANNA — Nic . . . Chciałam coś powiedzieć, ale zapomniałam.

DOKTOR — Podaj mi rękę. Hm . . . Puls znacznie przyspieszony . . .

ANNA — Ależ — ja nie jestem chora . . . lecz ile razy spojrzę na tę obandażowaną faszystowską mordę to — to już nie wiem sama . . .

DOKTOR — Uspokuj się . . .

ANNA — W miejscu usiedzieć nie mogę . . .

DOKTOR — Cicho . . . Ranny obudził się . . .

HANS — (ziewa, jęcząc): Was ist das? Ooo . . . Ich bin krank . . . sehr krank . . . Mein Kopf . . . oo mein Kopf . . .

ANNA — Ten bandyta odzyskał przytomność.

DOKTOR — Będzie żył.

HANS — Was sprechen Sie?

ANNA — Będziesz żył, faszysto. Będziesz mógł nadal bombardować otwarte miasta, będziesz mógł nadal mordować niewinne kobiety i dzieci.

DOKTOR — Anno!

ANNA — Serce mam przepełnione nienawiścią. Ja bez drżenia powiek zabiłabym tego bandytę, który spoczywa w łóżku mojej matki.

DOKTOR — Anno, jesteś nieostrożna. Gdyby te słowa usłyszał Rudolf von Bock, mogłabyś jeszcze dzisiaj pożegnać się z życiem.

ANNA — Rudolf von Bock . . . jak go nienawidzę . . . (lotnik ziewa). A ten znów zaczyna ziewać . . . Doktorze — jak ja strasznie nienawidzę tych bandytów!

DOKTOR — Anno, nie wypowiadaj takich słów głośno! Ten ranny Niemiec może rozumieć po polsku.

ANNA — Eeee — napewno nie rozumie ani słowa . . .

DOKTOR — Kto wie? Lepiej milczeć, Anno.

ANNA — Dość tego milczenia! Już dłużej cierpieć w milczeniu nie można.

DOKTOR — Nie można, lecz trzeba.

ANNA — Po śmierci będziemy milczeć.

DOKTOR — Bądź cierpliwa. Posłuchaj rady przyjaciela. Masz przecież męża, którego kochasz . . . Młoda jesteś. Doczekasz wolnej i szczęśliwej Polski.

ANNA — Wszyscy nam każą czekać, ale jak długo? Jak długo!

DOKTOR — Anno — nie mówmy na ten temat.

ANNA — Dlaczego?

DOKTOR — Nie mam w tej chwili czasu . . . Muszę zbadać corego pacjenta.

ANNA — Pacjenta. Nie nauczyłeś się, doktorze, nazywać właściwym imieniem faszystowskich pacjentów — nazywają się: zbrodniarzami . . .

DOKTOR — Anno, proszę cię, mów nieco ciszej . . . Podaj mi wate . . .

ANNA — Proszę . . .

DOKTOR — Eter stoi na półce . . . Der Herr, Hans — verstehen sie, was spreche ich? Ich bin Doktor . . .

HANS — Ja!



DOKTOR — Gut.

ANNA — Czy mam podać jodynę?

DOKTOR — Nie, nie trzeba. Anno, Hans Miller słyszy. Bądź więc ostrożna.

ANNA — Nie mogę, nie mogę milczeć, gdy tam w świńskim chlewie umiera moja matka . . . Słuchaj, ty ranny zbrodniarzu, ty morderco kobiet i dzieci — wcześniej, czy później zginiesz marnie!

DOKTOR — Anno! Na Boga! Co tobit pomogą takie słowa? Nie bądź uparta, posłuchaj mnie . . . Gdyby ten Niemiec rozumiał twoje słowa, to . . .

ANNA — To co?

DOKTOR — Mówiłem ci już . . . Zażyj bromu, Anno. Ty cierpisz na roztrój nerwów. Całe szczęście, że ten Niemiec nie rozumie po polsku.

HANS — Mylisz się, doktorze. Ja rozumiem każde słowo . . . (CISZA) Nie widzę tylko waszych świńskich twarzy, bo mam związane bandażem oczy. Ciekawy jestem jak wyglądają mściciele . . . Coście tak zamilkli?

DOKTOR — Proszę wybaczyć tej młodej dziewczynie . . . Chora jest i nie wie, co mówi.

ANNA — Ja wiem, co mówię! Przez moje usta przemawia ból i cierpienie całego narodu . . . Dumny Niemcze, jeśli wrócisz kiedy do swego kraju, powiedz takim jak ty, że naród polski żyje jedynym pragnieniem — zemstą . . . zemstą straszną jak śmierć!

DOKTOR — Anno!!

HANS — Pozwól jej mówić dalej . . . Takie słowa dodają mi tylko sił.

ANNA — POCO przysłiście do naszego kraju? Czego tu chcecie? Czego szukacie?

HANS — Niewolników, którzy będą pracować na chwałę firera i Trzeciej Rzeszy.

ANNA — Znajdziecie groby!!

HANS — Głupia jesteś. My, Niemcy jesteśmy silni i niezwyciężeni.

ANNA — Rozpadnie się wasza siła i potęga pod uderzeniem bagnetów Czerwonej Armji! Przyjdzie taki dzień, gdy powstaną miliony . . . miliony ludów i wydadzą wyrok ostatni. Do Boga nawet nie będziecie mogli apelować.

HANS — Ale ty nie doczekasz tej chwili . . . (mdleje).

DOKTOR — Zemdła! .|. .

ANNA — Bardzo żałuję, że jestem taka nieroztropna . . . Lecz nie mogę się już opanować . . . Musiałam temu zbrodniarzowi rzuścić w jego obandażowany pysk całą prawdę, wołając o pomstę do nieba.

DOKTOR — Postąpiłaś źle! . . . Bardzo źle . . .

ANNA — Trudno. Inaczej nie mogłam postąpić . . .

DOKTOR — Rozumiem cię, Anno.

ANNA — Doktorze, doktorze, nawet teraz — gdy przymknę oczy, widzę moją matkę zbitą i skopaną, widzę ojca w podartej sukmanie, broczącego krwią, widzę cały naród zamknięty w jednym wielkim, koncentracyjnym obozie . . . i szubienice . . . tysiące szubienic . . . Słyszę jęki mordowanych, słyszę salwy plutonów ekzekucyjnych .|. . i to wszystko dzieje się wokół mnie . . .

DOKTOR — Anno! Na litość boską . . . Masz, zażyj bromu . . . (daje jej brom).

ANNA — Dziękuję.

DOKTOR — Lepiej ci . . . ?

ANNA — Trochę, trochę lepiej . . .

DOKTOR — Musisz wytrwać.

ANNA — Wytrwać? POCO? POCO się męczyć? Wolę umrzeć.

DOKTOR — Zastanów się, co mówisz.

ANNA — Już się zastanowiłam . . . Gdy w tej izbie zjawi się Rudolf von Bock, jedno słowo Hansa Millera będzie dla mnie wyrokiem śmierci.

DOKTOR — Nie zabiją cię chyba.

ANNA — Nie zabiją, lecz wywiozą do domu nierządu na uciechę dla żołdaków.

## SCENA 5.

(W głębi sceny panuje mrok. Na froncie widać leżącą na wiązce słomy Wikte, obok niej skulonego Adama, który zdejmuje sukmanę i nakrywa matkę. Później kłęka. W tym czasie słychać cichą melodię — skrzypce — (coś smutnego) — i głos za sceną deklamuje: — Postacie oświetlone są żółtawym światłem, które się co pewien czas zmienia na zielone i niebieskie)

(deklować należy powoli,  
 spokojnie, smutno)  
 — Muzyka gra —  
 (można mówić za sceną  
 przez głośniki)

*W świńskim chlewie w bartogu na brudnej pościeli  
 czyja twarz w ciemnym kącie śnieżyście się bieli?  
 czyje oczy tak patrzą w pułap bez poszycia  
 i z czyich ust ulata staby oddech życia?*

*Poznasz. Odgadniesz szybko. Dostrzeżesz napewno.  
 Usłyszysz szept modlitwy cichej—skargę rzewną—  
 Pochyl głowę i Boga zawezwij na świadka,  
 bo może w świńskim chlewie umiera twa matka ...*

*Może i ona dzisiaj skopana i zbita  
 po przez morza i lądy spojrzysz i zapyta:*

\*

(Muzyka grać przestaje)

\*

WIKTA — Dzieci moje, gdzie wy jesteście? Dlaczego nie spieszy-  
 cie z pomocą matce waszej? Dlaczego? Zał! płomień miłości  
 wygasł w sercach waszych?..... Ooo, jak mi zimno w tym  
 chlewie... jak zimno. Adamie.. Adamie...

ADAM — Jestem, mamó.

WIKTA — Gdzie Anna?

ADAM — W izbie. Doglądać musi rannego *lotnika*...

WIKTA — Boję się o nią. Młoda jest... Mogą ją Niemcy wy-  
 wieść i zginie marnie wśród obcych... JĘCZY (za sceną  
 wycie psa).

ADAM — Cicho, mamó... Doktor Brzeziński przyjdzie tutaj...

WIKTA — Doktor już mi nic nie pomoże. Cosik oberwało się we  
 mnie. Słyszysz, jak Burek wyje? Śmierć zwietrzył...

ADAM — Mama jeszcze wyzdrowieje... Nie traćmy nadzieji.

WIKTA — Śnił mi się wczoraj Andrzej... Przyszedł do mnie  
 taki zziębnięty, zmizerowany, w podartej sukmanie i powie-  
 dział: "Nie wydałem nikogo." Pytał się o Annę i o ciebie i o  
 Józka... Płakał...

ADAM — Sen mara. Ojciec jeszcze powróci z koncentracyjnego  
 obozu.

WIKTA — Nie wróci. Z Oświęcimia powracają tylko popioły za-  
 mordowanych więźniów...

SCENA 6.

(Wchodzi doktor).

ADAM — Mamó, doktor przyszedł!

DOKTOR — Brr zimno! Wpadłem na chwilę...

ADAM — Doktorze... litości... ratuj moją matkę lub skróć jej  
 męki.

DOKTOR — Straciła przytomność... Adamie, nie chcę przed pa-  
 nem ukrywać prawdy: matka pana umrze... Wewnątrz nastą-  
 pił wylew krwi.

ADAM — Zamordowali mi matkę, zbrodniarze...

DOKTOR — Zaprzysięgli nam zemstę. W Berlinie wydali wyrok  
 śmierci na cały naród polski... Dziesięć lat panowania wyż-  
 szej rasy panów nad tym krajem przemieni tę ziemię w jedną  
 wielką mogiłę.

ADAM — Niedoczekanie...

DOKTOR — Adamie, dałem twojej matce zastrzyk... Gdy się oc-  
 knie nie będzie czuła bólu... Umrze spokojnie. To jedno, co  
 mogłem dla niej uczynić.

ADAM — Bóg zapłać...

DOKTOR — Muszę już iść... i leczyć zmasakrowanych barba-  
 rzyńców. Bądź zdrow.

ADAM — Doktorze, *zaczekaj!* Powiedz Annie, niech przyjdzie  
 pożegnać się z matką.

DOKTOR — Powiem... ZNIKA W MROKU.

ADAM (kaszle). — Kaszel mnie zaczyna męczyć... [Przeciubiłem  
 się. *bbrrr*. Jak tu zimno w tym chlewie. Ale to nic — mat-  
 ce jest trochę cieplej pod moją sukmaną... Mamó... Mamó  
 .... Czyżby umarła? Mamó! Odezwiij się! To ja? Adam,  
 twój syn... Mamó!

WIKTA — Gdzie ja jestem?

ADAM — Żyje...!

WIKTA — Adamie, czy to już wiosna przyszła?... Kwiaty pach-  
 ną... [Róże czerwone zakwitły pod oknem... Adasiu, otwórz  
 okno....

ADAM — Nie można, mamó, bo na dworzu jest zimno...

WIKTA — Gdzie Anna?

ADAM — Przyjdzie za chwilę... jeno patrzeć jak się zjawi.

WIKTA — Ooo jak mi zimno! Otul mnie... Ciepłej herbaty za-  
 grzej.

ADAM — Mój Może drogi . . . mój Boże.

WIKTA — Co z tobą? Płaczesz? Jakiś ty malutki . . . Połóż się przy mamie i nie płacz . . . . . Dlaczego Anna nie przychodzi?

ADAM — Zaraz przyjdzie.

WIKTA — Jak tu ciemno jak w grobie. Czy to organy grają? Ludzie już z kościoła wyszli . . . Andrzeju . . . Andrzeju . . . Krasuli dorzuć trawy. Pojedziem na odpust . . . Prosiaki do chlewa zagnaj . . . Jezu . . . Uciekaj . . . Uciekaj . . . Rzuć wszystko! . . . Wojna!!! Dzieci mordują! Słońca nie widać! Wszędzie dym i zgliszcza . . . .

ADAM — Mamo, co ty mówisz?

WIKTA — Cicho . . . szaaaaa . . . Nie wydaj nikogo . . . płuca wypłuj z piersi, udław się własną krwią, ale nie wydaj nikogo . . . Przyjdzie ojczyzna chlebem i ziemią pachnąca . . . dla dzieci naszych . . . Zazieleni się łąką pod lasem . . . zaszumi strumykami . . . Ojczyzna . . . Polska . . . Matka . . . Będzie ona domem sprawiedliwości i świątynią prawdy . . . . Andrzeju . . . Andrzeju . . .

ADAM — Mamo, to ja, Adam . . .

WIKTA — Cicho . . . ojciec powrócił . . . szaaaaa . . . (ŚWIST WICHRU)

### SCENA 7.

(Na scenie zjawia się duch Andrzeja)

WIKTA — Andrzeju . . .

ANDRZEJ — Przyszedłem po ciebie . . . Pójdziemy razem daleko, daleko na pola.

WIKTA — Poco? Poco?

ANDRZEJ — Pójdziemy, kochana moja, daleko, daleko i nie wrócimy już tutaj nigdy.

WIKTA — Jakie ty masz zimne ręce . . . Ogrzej się . . . Ziębnięty jesteś . . . Mój ty, chudziaku . . . (ściska ręce ADAMA).

ANDRZEJ — przyszedłem po ciebie . . . by cię zabrać i pójść razem z tobą. Nie lękaj się . . . Droga przed nami daleka . . . daleka . . . ale dojdziemy ku światłości bożej, Chrystusowi do stóp się pokłonić i zanieść mu naszą skargę i nasz ból i nasze łzy i naszą krew . . . Pójdź ze mną . . . . Nie lękaj się . . .

WIKTA — Pójdę . . . Pójdę . . . Jeno chustkę Annie zostawie . . . i Adamowi posiłek przyrządzę . . . Prosiakowi trzeba kartofli usiekać . . . Zaczekaj, Andrzeju, zaczekaj . . .

ANDRZEJ — Spiesz się . . .

Wikta

ANNA — Już idę . . . Już idę . . . ~~zegnajcie~~ . . . SWIST WICHRU, WYCIE PSA. ZJAWA ZNIKA — WIKTA UMIERA.

ADAM — Mamo . . . Mamo . . . Zbudź się . . . Otwórz oczy . . . To ja . . . Adam . . . Syn twój . . . Mamo . . . Ratunku . . . Chryste Panie . . . . .

### SCENA 8.

(WCHODZI ANNA)

ANNA — Adamie . . . wołałeś mnie? Matce lepiej? . . . Adamie?

ADAM — Matka umarła . . .

ANNA — Matko . . . (pada płacząc).

GŁOS — (cicha melodia):

*W świńskim chlewie w barłogu na brudnej pościeli  
Kto umarł? Czyj płacz słycać boleśnie tkający?  
Zobaczcie — może w chlewie tym płaczą anieli  
ku chwale jasnym ceniom w wieczności odchodzącym . . . ?*

*Nie ujrzycie anielskich, gwiazdzistych postaci —  
jeno twarze siostr waszych, twarze waszych braci . . .  
i zęby zaciśnięte twardo jak obcegi  
i usta, z których płynie gromki szept przysięgi . . .*

ADAM i ANNA — Wytrwać! Nie dać się złamać! Walczyć do ostatka!

Żeby z grobu niewoli wstała Nasza Matka!!!

M U Z Y K A:

“Nie rzucim ziemi skąd nasz ród” —  
lub

“Warszawianka”.

KURTYNA . . .

### SCENA 9.

(Adam siedzi na wiązce słomy. Wnętrze sceny zasnutę mrokiem)

ADAM — Pochowano matkę na wiejskim cmentarzu w pobliżu ruin spalonego kościoła. Spadły na trumnę ciężkie grudy zmarzniętej ziemi . . . Na pogrzebie nie było księdza proboszcza . . . Zeszłego roku przewielebny ksiądz proboszcz umarł w obozie, bo ośmielił się słowo boże głosić z ambony i wiarę w sercach wąpiących krzepić . . . Smutny był po-

grzeb i bez nijakiego namaszczenia odprawiony... Von Bock pozwolił nam być na pogrzebie i oddać matce ostatnią usługę... Von Bock nie broni nikomu płakać, pozwala nawet... ach... Brrr... Jak tu zimno... Ręk już nie czuję... Zapomnieli o mnie wszyscy i Anna i Marysia... Cha, trudno... ktoby tam pamiętał o kalece... Brrrr. Głodny jestem jak pies... O! Ktoś idzie... Kto tam?

MARYŚ — To ja... Marysia...

ADAM — Marysia?...

MARYŚ — Juści... Ale tu ciemno jak w piwnicy... Gdzie jesteś? Odezwij się, bo nic nie widzę...

ADAM — Marysiu, stokrotko, siedzę tutaj i czekam...

### SCENA 10.

(Marysia wchodzi — na głowie ma czerwoną chusteczkę).

MARYŚ — Zmarłeś, chudziaku? Myślałeś pewnikiem, że wszyscy o tobie zapomnieli? Naści chleba i słoniny, posil się...

ADAM — Chleb i słonina? Oo, daj mi, daj... aaaaa, dobra z ciebie dziewczyna. Istny anioł... Bóg ci zapłać...

MARYŚ — Anna dała mi to pożywienie dla ciebie...

ADAM — Byłaś u Anny?

MARYŚ — Byłam...

ADAM — I co?

MARYŚ — Żle. Niemcy pewnikiem poślakomią się na Annę.

ADAM — Nie może być!?

MARYŚ — Całe szczęście, że von Bock jest bardzo zajęty i nie ma czasu odwiedzać Hansa Millera...

ADAM — Trzeba ratować Annę.

MARYŚ — Ale jak? Ty przecież jej nie uratujesz? Nie osłonisz przed faszystami.

ADAM — A ten ranny lotnik niemiecki żyje?

MARYŚ — Nie zdechł jeszcze... Rozwalił się w łóżku kiej prosiak w barłogu i jeno stęka... Anna karmić go musi i doglądać...

ADAM — A doktor Brzeziński co robi?

MARYŚ — Rannych Niemców opatruje. Wczoraj umarło kilku... Ale ty jedz!

ADAM — Ilu ich umarło?

MARYŚ — Pięciu.

ADAM — Tylko pięciu?

MARYŚ — Tylko... ale to dopiero początek.

ADAM — A jak nasi ludzie?

MARYŚ — Dzieci mrą jak muchy. Wczoraj w nocy zmarło ośmioro. Trzy kobiety umarły z głodu i jeden stary chłop, Grześ Sobiepan... Jak tak dalej pójdzie wymrą wszyscy.

ADAM — Trzeba ratować ludzi... Trzeba ratować!

MARYŚ — Ale jak? Jak!? Jedzenia już braknąć zaczyna. Ludziska łupiny jedzą ze zmarzniętych kartofli... Psów już we wsi niema... Wszystkie zjedzone.

ADAM — Marysiu, przysuń się do mnie... Chcę ci coś powiedzieć.

MARYŚ — Co takiego?

ADAM — Pójdiesz do sąsiedzkiej wsi do Wojciecha Czerwonki... Jego chałupa stoi zaraz na skraju tuż przy drodze... Wejdiesz do chałupy i zapytasz o Jaśka Przaśnego... To nasz człowiek... Z partyzantami utrzymuje kontakt...

MARYŚ — Jasiu Przaśny?

ADAM — Tak...

MARYŚ — A ten Wojciech Czerwonka... to też nasz człowiek?

ADAM — Tak... Wojciech jest stryjem Jaśki...

MARYŚ — To kiedy mam iść?

ADAM — Natychmiast.

MARYŚ — A co mam powiedzieć Jaśkowi?

ADAM — Powiesz mu tak: "Adam Rzepa przykazał ci iść do Puszczy Białowieskiej i partyzantów na pomoc sprowadzić." Opowiesz Jaśkowi wszystko, coś w naszej wiosce widział.

MARYŚ — Juści, powiem... Jeny czy Jasiu mnie usłucha?

ADAM — Jasiu do naszej organizacji należy i partyzantów napewno sprowadzi.

MARYŚ — Ale dyc przecie Jasiu mnie nie zna... Pomyśli może, że szpieg jestem albo i co innego...

ADAM — Pamiętaj nasze hasło?

MARYŚ — Pamiętam...

ADAM — To nie obawiaj się niczego... Trzeba, Maryś, naród ratować przed śmiercią.

MARYŚ — Adasiu, juści... trzeba ratować, ale partyzanci Niemców wybijają, a nasi ludzie i tak pomrą...

ADAM — Pomrą starzy i dzieci małe... Kto silny i zdrowy pójdzie z partyzantami. Do wiosny już niedaleko.

MARYŚ — Innej rady niema?

ADAM — Niema! Gdy będziemy czekać, pomrzemy wszyscy... pomrzemy śmiercią niewolników... A my nie jesteśmy nie-

wolnikami... Za naszą śmierć wszyscy faszyci muszą zapłacić śmiercią... Za jedno nasze oko — oba oczy nazistowskie... Za jeden nasz ząb, cała mordą faszystowska! Pójdiesz, Maryś...? Nie będziesz się bać?

MARYŚ — Pójdę... dyć pedziałam, że pójdę...

ADAM — Na dworzu noc ciemna... Wicher wyje i roznosi tumany śniegu... Idź i wracaj najprędzej... Do sąsiedniej wioski niedaleko... W taką noc nikt cię nie dostrzeże... Wróć nad ranem... Będę czekał! Idź!...

MARYŚ — Wedle rozkazu... (zaczyna płakać).

ADAM — Czego płaczesz?

MARYŚ — Bo... bo... widzisz... Adasiu... ty ostaniesz sam...

ADAM — Nie martw się o mnie... Idź już... Na co czekasz?

MARYŚ — Idę... jeno chcę ci jeszcze powiedzieć, że ja... że...

ADAM — Że... co?

MARYŚ — Że ja ciebie miłuję...

ADAM — Maryś... Znikła... Kochana Marysia... Gdy północ wybije, pójdę do Anny... Oby tylko Marysia wykonała moje polecenie... A jeśli Niemcy ją złapią?... Jeśli Marysia zabłądzi w taką zawieję Mróz na dworze... dziewczyna jeszcze zmarznie... Ach... Przecież ją kocham... Nie czas dzisiaj marzyć o miłości, gdy śmierć rozpostarła nad nami biały całun... Pójdę do Anny...

(Na scenie zjawia się Anna... Płacząc biegnie do Adama)

## SCENA II.

ANNA — Adamie... Adamie... O, ja nieszczęśliwa!

ADAM — Co tobie?... Kto cię skrzywdził? Może von Bock? Chciałem iść do ciebie... Nie płacz!... Anno, mów na liłość boską, co się stało?!

ANNA — (Ocierając łzy). Do tej pory nic się takiego nie stało... Ale... ale może się stać coś strasznego... W tym samym dniu, gdy umierała nasza matka, ja powiedziałam temu rannemu barbarzyńcy, że zginie marnie, powiedziałam mu całą prawdę, bo już dłużej znieść nie mogłam wszystkiego... Ten barbarzyńca rozumiał każde moje słowo...

ADAM — Postąpiłaś jak małe dziecko... Cóż tobie, co nam wszystkim pomogą przekleństwa i groźby rzucane w ohydne pyski niemieckich zbirów? Cóż nam to pomoże? NIC!!

ANNA — Ale ja powiedziałam prawdę i tylko prawdę!

ADAM — Jesteś zdenerwowana...

ANNA — O, tak... bo ja wiem, że już nigdy w życiu nie doczekam lepszych dni... Mam do wyboru — śmierć z własnej ręki, lub powolne konanie w domach nierządu...

ADAM — Co ty mówisz?... Anno, na Boga!!

ANNA — Przyszłam pożegnać się z tobą...

ADAM — Chcesz może popełnić samobójstwo?

ANNA — Wolę śmierć niż hańbę!

ADAM — Anno...

ANNA — Pójdę na grób matki i już nie wrócę... Muszę się spieszyć, Adamie... bo jutro może być za późno... Jutro Rudolf von Bock odwiedzi Hansa Millera... Hans wyda mnie w ręce Gestapo...

ADAM — Jaka ty byłaś nieostrożna...

ANNA — Trudno... Stało się już...

ADAM — Gdybyś jednak zaczekała dwa dni... dwa dni tylko...

ANNA — Poco?

ADAM — Za dwa dni zjawią się we wsi partyzanci... Przed chwilą posłałem Marysię do sąsiedniej wioski do Jaśka Przaśnego, który ma kontakt z partyzantami...

ANNA — I cóż z tego?

ADAM — Jasiek sprowadzi partyzantów. Przyjdzie Bolek, twój mąż i ocali cię... Pójdiesz z nim razem do Puszczy Białowieskiej walczyć z okupantami.

ANNA — Adamie — pocóż ja mam czekać aż Bolek zjawi się tutaj... Ja pójdę do niego... Jasiek Przaśny mnie zaprowadzi...

ADAM — Ty nie możesz iść... Ty musisz zostać tutaj... Musisz trwać do ostatka na swoim stanowisku!

ANNA — Jeśli Marysia mogła iść, to i ja mogę...!

ADAM — Stój!

ANNA — Puść mnie... ja chcę iść...

ADAM — Nie pójdiesz...

ANNA — Pójdę...!

ADAM — Nie pójdiesz! Ja nie pozwalam...!

ANNA — Dlaczego? Mam może umrzeć w objęciach Rudolfa von Bocka, lub na grobie mej matki?

ADAM — Nie mogę, Anno, posłać cię do Jaśka Przaśnego... Rudolf von Bock dostrzeże twoją nieobecność prędzej, niż się tego spodziewać można... Wyślę za tobą ludzi, którzy będą cię śledzić... Nie chcesz chyba, Anno, wskazać von Bockowi

drogę do kryjówek partyzantów, między którymi znajduje się twój mąż i twój brat... Ja w partyzantach pokładam całą nadzieję ocalenia ciebie i innych... Dlatego rozkazuję ci zostać i czekać tak długo, aż partyzanci przyjdą...!

ANNA — A jeśli nie przyjdą?

ADAM — Pójdiesz wtedy na grób matki...

KONIEC AKTU 2.

MUZYKA — Szopen.

KURTYNA...

## AKT 3.

### SCENA 1.

(Scena przedstawia izbę Rzepów — Hans Miller śpi).

ANNA — Boję się... Boję się, doktorze...

DOKTOR — Cicho...

ANNA — Adam, pocieszył mnie wczoraj w nocy... (WYGLĄDA OKNEM) Co chwila spoglądam na drogę i patrzę czy Rudolf von Bock nie idzie...

DOKTOR — Anno, może partyzanci wcześniej się zjawią niż von Bock...

ANNA — Do tej pory Marysia jeszcze nie wróciła, a cóż mówić o partyzantach...

DOKTOR — Gdy się ściemni, Marysia zjawi się tutaj...

ANNA — Już niedługo ściemniać się zacznie...

HANS — (Mruczy przez sen): Gut... gut...

DOKTOR — Szaaaaa...

HANS — (Śpiąc): I to ma być Warszawa...? Che, che, che...

Taki kurnik...! Orle Trzeciej Rzeszy niż lot... Ooo... jak motor gra... w maszynie... Hans, wyładuj transport bomb nad tym plugawym miastem...

DOKTOR — Słyszałaś?

ANNA — Ile razy zaśnie, zawsze śni mu się, że bombarduje Warszawę.

HANS — Precz z sumieniem! Ty, Hans nie masz sumienia...

Morduj bez wahania polskie świnie... Zniź lot i z maszynowego karabinu pal prosto w łby polskim świniom... Hans, zrzuć zatrute cukierki dla polskich bachorów... Aaaa... co za rozkosz... co za rozkosz...

ANNA — Słyszałaś, doktorze?

DOKTOR — Cicho...

HANS — Firer rozkazał tobie, Hans, zniszczyć podłą rasę niewolników... Ty, nie masz sumienia, Hans, ty nie masz sumienia... ty nie masz sumienia... (CHRAPIE)

ANNA — Bydlę...

DOKTOR — Anno, podaj mi szklankę wody... Tak mi słabo...

Widzisz... ja miałem dwoje dzieci... Dwoje jasnowłosych aniołków... Zgingły z ręki takich zbirów jak ten... Podaj mi jeszcze jedną szklankę wody... PUKANIE DO DRZWI.

ANNA — Jezus, Maria...

### SCENA 2.

(Wchodzi Rudolf von Bock).

RUDOLF — Heil Hitler...!

ANNA — (Z jej ręki wypada szklanka) — Przepraszam...

RUDOLF — Ty niedołego... Cha, cha, cha... przestraszyłaś się mnie!?

HANS — (Budzi się) Rudolf? To ty?

RUDOLF — Ja... Ja... Witaj przyjacielu... Jak się czujesz?

HANS — Gut... Głowa mnie już nie boli... Doktor powiedział, że jeszcze dzisiaj zdejmie bandażę... Rudolfie, chcę tobie coś powiedzieć...

RUDOLF — Co takiego?

HANS — Zbliź się do mego łóżka... ANNA W TEJ CHWILI PODBIEGA DO DRZWI.

RUDOLF — Stój... Dokąd idziesz? (łapie za rękę).

ANNA — Ja... nigdzie... Chciałam iść po ścierkę do sieni...

RUDOLF — Ścierka leży w kącie... Zobacz... Co ty tak drzysz? Aaa?

HANS — Rudolf... Zostaw tę dziewczkę i chodź tutaj...

RUDOLF — Ta dziewczka wygląda jakoś podejrzanie...

HANS — Mówisz, że wygląda podejrzanie...?

RUDOLF — Jawohl...

HANS — Powiedz mi kamracie, czy ta dziewczka jest ładna?

RUDOLF — Bardzo ładna... Das ist sehr schoene Maedchen... Tylko trochę za chuba.

HANS — Blondynka, czy brunetka...?

RUDOLF — Blondynka.

HANS — A jakie ma oczy?

RUDOLF — Świńskie... Cha, cha, cha.

HANS — Nie żartuj...

RUDOLF — Pardon... Ta Polka ma oczy piwne...  
HANS — A nogi? Biodra? Piersi? Jakie? Powiedz, bo ja nie widzę...  
RUDOLF — Za chwilę doktor zdejmie tobie bandaż z oczu i sam zobaczysz...  
HANS — Zanim ją zobaczę, już teraz chciałbym wiedzieć jak wygląda.  
RUDOLF — Polki są ładne, lecz lepiej się z niemi nie zadawać.  
To są żmije, które potrafią kąsać śmiertelnie...  
HANS — Żmije można pozbawić jadu...  
ANNA — (wyciera podłogę)  
RUDOLF — Można, lecz wprawdzie trzeba je zabić.  
HANS — Zabić można w każdej chwili... Najprzyjemniej jednak zabijać po spędzonej nocy.  
ANNA — Barbarzyńcy... Wy już nie jesteście ludźmi... (ta-  
pie się ręką za usta)  
RUDOLF — Cha, cha, cha... Słyszałeś, Hans...? My już nie  
jesteśmy ludźmi... Masz rację, panno, masz rację... my  
jesteśmy NADLUDŹMI... Firer nam to powiedział... nasz  
wódz i nasz bóg...  
ANNA — Jestem bezbronna i słaba... Zdana na waszą łaskę i  
niełaskę... Możecie wobec mnie udawać silnych i niezwycięzo-  
nych, lecz są od was silniejsi... są ludzie, którzy wylamią wam  
zęby i zmiążdżą kości.  
RUDOLF — Milcz!  
HANS — Rudolfie, pozwól jej mówić.  
RUDOLF — POCO?  
HANS — Ja lubię skowyczenie bezsilnych niewolnic.  
ANNA — Gbur!  
RUDOLF — Ani słowa więcej! Wytrzej podłogę, którą zabru-  
dziłaś. Ruszaj się!  
HANS — Rudolfie, byłem w Paryżu, w Amsterdamie, w Kopen-  
hadze, ale nigdzie nie spotkałem takich kobiet jak w Polsce...  
Najprzykład w Berlinie — za pół bochenka chleba można się  
bawić z dziewczyną przez całą noc. Ale w Polsce nie moż-  
na dostać kobiety nawet za bochenek chleba.  
RUDOLF — W Polsce należy kobiety brać siłą.  
HANS — To prawda. Uparte są i głupie.  
RUDOLF — Wszystkie słowiańskie kobiety uparte są i głu-  
pie. Ich mężowie i bracia także nie grzeszą mądrością. Słow-  
wian trzeba wytępić, zniszczyć, wdeptać w ziemię jak robac-

two. Całe nieszczęście w tem, że Słowian jest bardzo dużo.  
HANS — Ale z każdym dniem jest ich coraz mniej!  
RUDOLF — Barwo! Cha, cha, cha... Czy pamiętasz Hans, co  
Adolf Hitler pisał o Słowianach w "Mein Kampf?"  
HANS — Pamiętam. Takich słów nie zapomina się nigdy. Adolf  
Hitler pisał: "Masa ludzka Słowian to wyrzutki rasowe i nie  
godni są tego, aby posiadali własną ziemię... Ziemia ta winna  
przejsć w posiadanie panów niemieckich, zaś Słowianie wła-  
dający ziemią, winni być przekształceni w bezrolny prole-  
tariat..."  
RUDOLF — Lecz nie zapomnij, że Adolf Hitler powiedział tak-  
że: "Słowianie liczą (naśladuje Hitlera) 300 milionów ludzi,  
którzy są bardzo płodni. Systematycznie przeto przez sze-  
reg lat odseparuję mężczyzn od kobiet wśród Słowian, tak —  
aby zmiażdżyć rozrodczość Słowian wszelkimi, dostępnymi  
środkami... Kto zresztą odważy się odebrać mi prawo do  
zniszczenia Słowian, którzy mnożą się jak robaki?" Mądrze  
powiedziane, co?  
HANS — Jawohl... Bardzo mądrze. Należy tylko wykonać  
wskazania firera.  
RUDOLF — My to uczynimy, bo mamy nową biblię — nie-  
śmiertelną "Mein Kampf", wskazującą nam drogę w przysz-  
łość...  
HANS — Rudolfie, czuję się zdrów. Gotów jestem wstać z  
łóżka. Doktorze! Gdzie jest doktor?  
RUDOLF — Chodź tu, Żydzie!  
HANS — Zdejmij z mojej głowy bandaż!  
DOKTOR — Radziłbym poczekać do wieczora...  
HANS — Zdejmij bandaż... Prędszej!  
DOKTOR — Wzrok pański jest nieco osłabiony, ale jeśli pan  
chce koniecznie zdjąć bandaż, to ja zdejmę. Panie von Bock,  
trzeba zamknąć okiennice.  
RUDOLF — Zamknij okiennice... Piorunem... (ANNA WY-  
CHODZI)

SCENA 3.

(Doktor układa przyrządy na stoliku przed łóżkiem)

RUDOLF — Za chwilę, drogi przyjacielu, będziesz mógł wlas-  
noremennie napisać list do Hermana Goeringa i donieść mu, że  
wyzdrowiałeś i że wracasz na urlop zdrowotny do Berlina...  
HANS — Zanim wrócę do Berlina, zabawię się po oficersku w

tej chałupie.

RUDOLF — Zabawimy się razem . . . (W IZBIE ROBI SIĘ CIEMNO. . . Rudolf zapala lampę)

HANS — Co robisz teraz?

RUDOLF — Zapalam lampę.

HANS — Nie o to mi chodzi. . . Przeprowadzałeś śledztwo w ostatnich dniach, by wykryć sprawców katastrofy kolejowej. Czy jesteś na dobrej drodze?

RUDOLF — Ja. . . Ja. . . (DO IZBY WCHODZI ANNA)

#### SCENA 4.

ANNA — Okiennice zamknięte.

RUDOLF — Gut. . .

DOKTOR — Nożyczki. . .

ANNA — Proszę. . .

RUDOLF — A ja co mam robić?

DOKTOR — Proszę lampę podnieść do góry. . . Wyżej. . .  
Dobrze. . .

HANS — Za chwilę będę widział. . . Prędkiej doktorze, prędkiej!

DOKTOR — Panie inspektorze, proszę zgasić światło. . .

RUDOLF — Gut. . . (CIEMNO)

DOKTOR — Panie Miller, otworzył pan powieki?

HANS — Ja. . . Co. . . jak ciemno. . . Zapalcie światło. . .

DOKTOR — (świeci małą lampą w oczy) A teraz pan porucznik widzi?

HANS — Nie. . . nie widzę. . . Nic nie widzę. . . Zapalcie światło. . .

DOKTOR — Panie inspektorze, proszę zapalić lampę.

RUDOLF — Zapal sam! (szepcem) Jeśli Hans straci wzrok, ty nie ujrzysz pieczonej ryby. . . (ZAPALA LAMPĘ, na scenie widno)

DOKTOR — Anno, otwórz okiennice. (ANNA WYCHODZI)

RUDOLF — Hans, widzisz teraz?

HANS — (krzyczy) Zapalcie światło . . . Zapalcie światło . . .

RUDOLF — Mein Got. . .

HANS — Ooo. . . ooo . . . ooo . . . Kto mnie oślepił? Kto? Ja jestem ślepy! Ja nie widzę. . . Oddajcie mi moje oczy. . .  
Ja nie chcę być ślepcem. . . Oddajcie mi moje oczy. . .

DOKTOR — Proszę się uspokoić . . . Powoli odzyska pan wzrok.

HANS — (chwytając doktora) Kłamiesz! Kłamiesz, ty parszywy Żydzie! Ja ciebie zaduszę!

DOKTOR — Ludzie. . . Ratunku!

RUDOLF — Hans, zaczekaj. Ja się zaopiekuję tym doktorem. (chwytając doktora) Chodź, pójdiesz ze mną! Hans, ja tu jeszcze wrócę. . . (Anna wchodzi do izby) Hej, ty panno. . . będziesz doglądać porucznika Hansa Millera. Musisz to czytać lepiej, niż ten parszywy Żyd . . . o ile chcesz uniknąć śmierci w burdelu! Heil Hitler. (wychodzi)

#### SCENA 5.

ANNA — (cicho) Jezus Maryja, Jezus Maryja . . .

HANS — Aaaa. . . Cha, cha, cha. . . Jestem ślepy. . . Aaaa. . . już nigdy nie ujrzę faterlandu. . . już nigdy nie ujrzę lip zielonych, rosnących na bulwarach Berlina. Jestem ślepy. . . Ruszyłem na podbój świata. Szybowałem jak ptak pod chmurami, wicher śpiewał mi w uszach: "Deutschland, Deutschland uber alles. . ." Pamiętam mój pierwszy lot nad Warszawą. . . Jaka to była rozkosz i jakie szczęście, gdy nad tym miastem zniżyłem lot i lecąc nisko, kościłem z maszynowego karabinu głupich Polaków. Później zrzucałem zatrute cukierki dla polskich i żydowskich bachorów. Podnosiły z ziemi truciznę i żarły. . . Później umierały tysiącami. Dostałem żelazny krzyż zasługi. . .

ANNA — Bóg cię ukarał. . .

HANS — Głupia jesteś! Podaj mi wódki. . . Cała radość życia zgasła razem z moimi oczyma. Przed śmiercią pozostała mi jeszcze: kobieta, wino i śpiew. . .

ANNA — I żelazny krzyż zasługi za popełnione morderstwa. . .

HANS — Podaj mi butelkę! (Anna podaje)

ANNA — Udław się tą wódką. . .

HANS — Umiesz śpiewać?

ANNA — Umiem.

HANS — Zaśpiewaj mi walca Straussa — "Nad cichym, modrym Dunajem." Zaśpiewaj, proszę cię. . . Nie chcesz? A, gut. . . Dzisiaj wieczorem upijesz się razem ze mną i będziesz śpiewał i tańczyć na stole. . . Ach, jaka szkoda, że jestem ślepy. . . Ale to nic. . . Moje oczy zgasły, lecz sława fireera świeci jaśniej. . . A ty śpiewaj. . .

ANNA — Mordowałeś moje siostry i Bóg cię ukarał. Ukórz się przed Bogiem i przestań być zwierzęciem!

HANS — Zaśpiewaj mi lepiej walca Straussa. Ty masz ładny głos, Anno.



ANNA — Zaśpiewam ci, posłuchaj . . . “Nie będzie Niemiec pluł  
nam w twarz i dzieci nam germani! . . .”  
HANS — Milcz! Milcz! (rzuca butelką; Anna śpiewa dalej)  
ANNA — Twierdzą nam będzie każdy próg! . . . itd.  
HANS — Zamknij pysk, suko! (wchodzi von Bock i patrzy)

### SCENA 6.

RUDOLF — (kładzie rękę na ramieniu Anny) Aresztuję cię!  
ANNA — Puść!  
RUDOLF — Stój!  
HANS — Jakim prawem aresztujesz moją pielęgniarkę?  
RUDOLF — Ja wiem, co robię. . . Aresztuję tę dziewczkę, bo  
śpiewała pieśń zabronioną!  
HANS — To ja jej kazałem śpiewać? Verstehen Sie?  
RUDOLF — Jawohl, lecz to nie zmieni postaci rzeczy... Ta dziewczka  
pójdzie ze mną, bo oskarżona jest o współudział z partyzantami.  
HANS — Rudolfie von Bock!  
RUDOLF — Słucham pana porucznika!  
HANS — Ta dziewczka zostanie przy mnie.  
RUDOLF — Was? Pan porucznik chyba żartuje!  
HANS — Nein! Ta pielęgniarka do mnie należy!  
RUDOLF — Przyślę panu inną pielęgniarkę.  
HANS — Ja nie chcę innej pielęgniarki.  
RUDOLF — To jest bardzo niebezpieczna wiedźma.  
HANS — Wiem o tem i dlatego zostanie przy mnie.  
RUDOLF — Panie poruczniku, ja nie mogę na to pozwolić.  
HANS — Pańskie zdanie nic mnie w tej chwili nie obchodzi.  
RUDOLF — Panie poruczniku, pan się zapomina. Pan wtrąca  
się w zakres mojej działalności służbowej, Wczoraj zginęła  
w tajemniczych okolicznościach przyjaciółka tej dziewczki. Poszła  
a nie wiadomo dokąd . . . Na mocy rozporządzenia władz  
nie wolno nikomu opuszczać miejsca zamieszkania bez pozwolenia.  
Ja, Hans. . .  
RUDOLF — Nie nudź mnie. . .  
RUDOLF — Hans, daj mi tę pannę. . . W zamian przyślę ci trzy  
oswojone dziewice. Będziesz miał wybór doskonały. . . Istne  
jabłuszka. . .  
HANS — Nie lubię nadgryzionych jabłek. . .  
ANNA — Bydlęta. . .  
RUDOLF — Coś powiedziała?

ANNA — Nic. . .  
RUDOLF — Chodź, bo mi się śpieszy.  
HANS — Rudolfie, jeśli się tobie śpieszy, możesz odejść, lecz  
ta dziewczka zostanie.  
RUDOLF — Hans, nie bądź uparty. . .  
HANS — Donnerwetter. . .  
RUDOLF — Ja dla twego dobra chcę cię uwolnić od tej niebez-  
piecznej dziewczki. Ja jestem odpowiedzialny przed Heinrichem  
Himmlerem ze swej patriotycznej działalności. . . Ja  
czuwałm nie tylko nad buntownikami, panie poruczniku. . .  
HANS — Co chcesz przez to powiedzieć?  
RUDOLF — Chcę powiedzieć, że i ty, Hans, znajdujesz się pod  
opieką ludzi Himmlera.  
HANS — Grozisz mi?  
RUDOLF — Hans, nie bądź dzieckiem.  
HANS — Ja nie lękam się twoich grózb . . . Po tę dziewczkę zgło-  
sisz się za tydzień.  
RUDOLF — Gut. . . niech i tak będzie. . . Co się odwlecze, to  
nie uciecze. . .  
HANS — Najpierw ja, później ty. . .  
RUDOLF — Ach ci lotnicy, ci lotnicy. . . oni zawsze muszą być  
pierwsi w górze. . .  
HANS — Cha, cha, cha. . . Zgadłeś, Rudolfie. . . No, napijemy  
się na zdrowie niemieckich lotników z nieustraszonej Luftwaf-  
fe. . . Anno, podaj wódki. Rudolfie, pracuj, a nagroda cię nie  
minie. . . Mój przyjaciel Goering szybciej ocenia zasługi dob-  
rych patriotów niemieckich niż Himmler.  
RUDOLF — (nalewa wódkę) Dziękuję. Jutro przyślę tobie  
kilka butelek rosyjskiej wódki, sprowadzonej z Odessy.  
HANS — Gut. Podaj mi kieliszek. Piję ten kielich na chwałę  
niemieckich orłów! Niech im Bóg da zwycięstwo na wscho-  
dzie!  
RUDOLF — Wiwat! Heil Hitler! !  
HANS — Aaaa. . . dobra wódka!  
RUDOLF — Sprowadziłem ją z Kijowa. No, ale muszę odejść.  
HANS — Napij się jeszcze.  
RUDOLF — Nie mogę. Nie mam czasu. Muszę doktora zba-  
dać dzisiaj. Ostrzegam cię jednak przed tą panną. Auf wider  
sehen!  
HANS — Auf wider sehen. (Rudolf wychodzi)

## SCENA 7.

(ściemnia się)

ANNA — Poszedł. Biedny doktor Brzeziński. Ale dlaczego Marysia nie wraca?

(ściemnia się coraz bardziej)

HANS — Anno, popraw mi poduszkę pod głowę.

ANNA — Niema głupich.

HANS — Proszę cię, bądź dobra dla mnie (pijany). Przecież ocaliłem cię przed von Bockiem — przed tym chamem . . .

Anno, jeśli będziesz dla mnie grzeczna, zabiorę cię ze sobą, gdy będę wyjeżdżał . . . Gut?

ANNA — Możesz mówić do lampy.

HANS — Aaa . . . upiłem się . . . O, jak mi się w głowie kręci! (krzyczy) Precz! Precz!

ANNA — Co jemu się stało?

(Urywany akompanjament na pianinie . . .)

HANS — Ja nie mam sumienia! Precz, mary! (jęczy) Czego chcecie ode mnie? Ja was zabiłem . . . Precz . . . O, mein Gott! Dzieci idą, dzieci — cały korowód . . . zatrutych i pomordowanych dzieci . . . a obok nich matki . . . Wstają z mogił, z pod ruin Warszawy, Belgradu, Moskwy, Odessy, i idą . . . Precz! Ja nie chcę was widzieć! Ja nie mam sumienia! Ooo . . . Nie wiedziałem, że tyle ofiar padło z mojej ręki . . . Gdzie wódka? Gdzie wódka? Jest! Aaaa . . . napiję się i zasnę . . . (pije; Anna zapala lampę)

ANNA — Zasnął. Mogłabym go teraz zabić, ale nie uczynię tego. Niech się męczy jak najdłużej. Jaka ja jestem zmęczona. Położę się na ławie i odpocznę . . . (PUKANIE DO DRZWI) Kto to? Ktoś puka . . . (podchodzi do drzwi) Kto tam?

ADAM — To ja — otwórz.

ANNA — (wchodzi Adam; za Adamem starzec, Wojciech Czerwonka)

## SCENA 8.

ADAM — Śpi ten . . . tam?

ANNA — Śpi, upił się i śpi . . .

ADAM — (kiwa ręką) Chodźcie, Wojciechu. Ogrzejcie się w izbie.

WOJCIECH — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

ANNA — Na wieki wieków, Amen.

ADAM — To moja siostra, Anna. Usiądźcie, Wojciechu. Anna na wam nogi opatrzy. A gdzie doktor Brzeziński?

ANNA — Nie pytaj . . .

WOJCIECH — Ooo . . . (jęczy) W ciepłe zaczynają mnie nogi boleć. (zdejmuje łapcie)

ANNA — O, Boże! Jak wy człowieku możecie chodzić jeszcze na takich nogach?

WOJCIECH — Już nie mogę, choćbym i chciał . . .

ANNA — (ogłada stopy) Odmrożone macie stopy.

WOJCIECH — Juści. Mięso na piętach już od kości odstało. Olaboga świętego!

ADAM — Szaaa . . . Anno, przynieść kawałek niesolonego masła. Trzeba Wojciechowi stopy posmarować — wtedy skóra nie będzie pękać.

ANNA — Przyświeć, Adamie.

WOJCIECH — Ostrożnie, panienko, ostrożnie . . .

ADAM — Anno, Wojciech Czerwonka jest stryjem Jaśka Przaśnego i na tych chorych nogach przyszedł z sąsiedniej wioski.

ANNA — A gdzie Marysia?

WOJCIECH — Poszła do partyzantów . . .

ANNA — Przecież Jasiak Przaśny miał iść?

WOJCIECH — Jasiak już dawno nie żyje. Zatruli go Niemce. Pomarł, chudziak, od niemieckiej kuli. Ja Marysi pokazałem drogę i dziewczyna poszła . . . Odchodząc, prosiła mnie, żebym was o tem powiadomił. Dała mi nawet tę czerwoną chustkę i przykazała oddać Adamowi Rzepie.

ADAM — Tę chusteczkę kupiłem Marysi na odpuszcie, gdy się miałem z nią żenić.

ANNA — A czy Marysia trafi? Jak myślicie, Wojciechu?

WOJCIECH — Wola Boska. Mogą ją Niemcy złapać, ale może jej Bóg pozwoli partyzantów na pomoc sprowadzić.

ADAM — Dzielna z niej dziewczyna. Już ona da sobie radę.

WOJCIECH — Juści . . .

ANNA — Już nogi masłem nasmarowałam.

WOJCIECH — Bóg zapłać.

ADAM — Wojciechu, czy dacie radę wrócić do domu na takich nogach?

WOJCIECH — Burek mnie zaprowadzi. To mądry pies. Zo-

tsawiłem go w chlewie. Burek w zębach zataska mnie do cha-  
łupy. To mój przyjaciel.

ANNA — Gdzie zostawiliście Burka?

WOJCIECH — W chlewie, w waszym chlewie.

ANNA — Trzeba było go do mieszkania wziąć.

WOJCIECH — Eee... poco? Ja zaraz wracam z powrotem.

ANNA — Dam wam gorącej herbaty.

WOJCIECH — Niech się panienska nie trudzi. Nie trzeba.

ANNA — A może wódki się napijecie?

WOJCIECH — Napiję się, ale jeden kieliszek.

ANNA — Zaczekajcie.

ADAM — Wojciechu, jak mokliście tak mocno odmrozić nogi?

WOJCIECH — "Niemce" mnie tak urządzili. Nie zdjąłem czap-  
ki przed żołdatem i za karę kazali mi stać boszo na mrozie. . .

(SZCZEKANIE PSA)

ANNA — Co to?

WOJCIECH — Burek szczeka. Olaboga świętego, ktoś musi  
się po podwórku włóczyć. (SKOWYCZENIE PSA) O,  
słyszeliście (CISZA) Jakos cicho . . .

ANNA — (wygląda oknem; łapie się za głowę) O, Jezu!  
Niemcy są na podwórku! Poznają ich po hełmach.

WOJCIECH — Trzeba uciekać! (słania się na nogach i jęczy;  
do izby wpada von Bock)

### SCENA 9.

RUDOLF — Stać! Stać! Ręce do góry!

HANS — Kto tu? Co za wrzaski?

RUDOLF — To ja, Rudlf von Bock.

HANS — Czego chciałeś?

RUDOLF — Hans, obudź się! Ty nie wiesz, co wokół ciebie  
się dzieje.

HANS — Co takiego?

HANS — Melduję posłusznie, że polscy buntownicy chcieli cię  
zamordować.

WOJCIECH — Kłamiesz, Niemcze!

ANNA — My nie mordujemy bezbronych.

WOJCIECH — Juści. . .

RUDOLF — A tyś co za jeden? Jak się nazywasz?

WOJCIECH — Ja. . . wielmożny panie. . . ja tego. . . przyszed-  
łem się ogrzać i tyła.

RUDOLF — Pokaż dokumenty!

WOJCIECH — Ja nie mam żadnych dokumentów.

RUDOLF — Gantz gut. . . Panie poruczniku, przykro mi bar-  
dzo, ale jestem zmuszony aresztować pańską pielęgniarkę,  
która w tym domu ukrywa dwóch podejrzanych osobników.  
Usłyszałem mszczekanie psa i przyszedłem w samą porę.

ADAM — Ja jestem właścicielem tego domu.

ANNA — To mój brat.

RUDOLF — Będę miał czas przekonać się o tem w mojej kwa-  
terze. Jesteście aresztowani.

HANS — Rudolfie, zabierz ze sobą tych dwóch baranów i hep  
. . . . zostaw mi pielęgniarkę.

RUDOLF — Ta dziewczka chciała ciebie zamordować.

HANS — Ale jednak nie zamordowała.

RUDOLF — Przeszkodziłem w samą porę

ANNA — Kłamstwo!

RUDOLF — Ta dziewczka, powtarzam, utrzymuje kontakt z  
partyzantami.

ANNA — Nie masz na to dowodów.

HANS — Dość tej gadaniny.

RUDOLF — Panie poruczniku, ja przeczuwam, że nad nami  
zwisło jakieś niebezpieczeństwo.

HANS — Przesadzasz, panie von Bock, przesadzasz. Napij się  
wódki. A propo wódki. Przyślij mi jutro kilka przyobiecanych  
butelek. Bądź pewny, że Herman Goering będzie wie-  
dział o przysługach, jakie mi wyświadczyłeś i wyświad-  
czasz. Żegnam. (kładzie się na bok, tyłem do Rudolfa)

RUDOLF — Panie poruczniku, ja nie odejdę stąd bez tej dziew-  
ki.

HANS — (zrywa się) Co? Głupi! Nie wiedziałem, że ta  
dziewka tak bardzo się tobie podoba. . . Hm. . . musi być ład-  
na jak Walkiria. . . Panie von Bock, otrzymasz dziewczicę, gdy  
mi się znudzi. Żegnam. Wynos się na zbity pysk i daj mi  
spać.

RUDOLF — Co takiego?

HANS — Proszę cię bardzo grzecznie idź już. . .

RUDOLF — Gut, pójdę, lecz jeśli stanie się jakieś nieszczęs-  
cie, to pan porucznik weźmie odpowiedzialność na siebie.

HANS — Ja. . . (ziewa) Możesz być pewny, panie von Bock.

(wchodzi żołnierz)

## SCENA 10.

ŻOŁNIERZ — Panie inspektorze, melduję posłusznie, że w stodole i w chlewie nie znaleźliśmy nikogo oprócz psa, którego zakłuliśmy bagnietami.

RUDOLF — Gut. Mięso zeżrą więźniowie!

WOJCIECH — Zabili Burka! O, bodaj was szlag trafił!

RUDOLF — Alfred, zabierz tego starego dziada i policz mu zęby. . .

WOJCIECH — Ja tobie wpierw zęby policzę, ty. . . ooo. . . moje nogi!!! Jezus Maria. . . (żołnierz bijąc Wojciecha, wprowadza go)

ANNA — Uszanujcie siwe włosy tego starca!

HANS — Dość tych wrzasków! Panie von Bock, pańska kwartera mieści się gdzieindziej.

RUDOLF — Już odchodzę. **Chłopcy**, zabrać ze sobą tego kalekę.

ADAM — A cóż ja zawiniłem?

RUDOLF — Stul pysk! (uderza w twarz)

ANNA — Nie bij mego brata! Precz, bo ci oczy wydrapię!

RUDOLF — Tygrysyca! Aaaa. . . masz temperament.

ANNA — Nie wykręcaj mi ręk! Puść! Puść! (żołnierze wyprowadzają Adama)

HANS — Puść ją!

RUDOLF — Rozkaz. . . Cha, cha, cha! Ciekawy jestem, czy ty, Hans, będziesz miał dość siły na ugłaskanie tej tygrysy. Heil Hitler! (wychodzi; Anna płacze)

## SCENA 11.

HANS — Nie płacz. Popraw mi poduszkę pod głową. Anno, jeśli będziesz grzeczna dla mnie, to ręczę słowem honoru, że twój brat będzie wolny. . .

KURTYNA

KONIEC AKTU 3

## AKT 4.

### SCENA 1.

(Pokój. Na ścianie wisi portret Hitlera. Pod drzwiami stoi dwóch żołnierzy. Von Bock siedzi za biurkiem. . . telefonuje)

RUDOLF — Gut, sehr gut. Ich bin sehr zufrieden. . . Ja. . . Wojciech Czerwonka? Rybak z zawodu. Przedwczoraj wyszedł z wioski bez pozwolenia. . . Acha, kamrat, zaczekaj, zanotuję tylko bliższe szczegóły. . . (pisze) Wdowiec. . . aha. . . gut. . . Ile już lat jest wdowcem? Dziesięć. . . Gut Adolf — a tej dziewczyny, Marysi Bruzda, nie dostrzegli twoi ludzie. . . Nie. . . aha. . . Auf wider sehen! (wiesza słuchawkę) Alfred! (żołnierz staje na baczność) Przeprowadź Wojciecha Czerwonkę.

ŻOŁNIERZ — Jawohl. (żołnierz wychodzi)

RUDOLF — Cha, cha, cha! Złapałem ptaszka. Mogę sobie pogratulować, bo wpadł mi w ręce bez wielkiego trudu (ogląda chusteczkę Marysi). Hm. . . Ta chusteczka może być własnością tej dziewczyny, córki sołtysa. . . Marysi. . .

## SCENA 2.

(Żołnierz wprowadza Wojciecha Czerwonkę. Wojciech wchodząc zęgną się.)

RUDOLF — Zbliź się **chłopie**.

WOJCIECH — **Olaboga świętego!** Nie mogę wielmożny panie. Nogi mnie bołą.

RUDOLF — **Chłopcy**, posadź tego staruszka na krześle. (żołnierze wykonują rozkaz)

WOJCIECH — Ostrożnie. . . Ooo. . . ooo. . . Dziękuję pięknie.

RUDOLF — Imię i nazwisko!?

WOJCIECH — Wojciech Czerwonka.

RUDOLF — Zgadza się. Czem się trudnicie?

WOJCIECH — Niczem. Niczem się nie trudnię, bo stary jestem **jak grzyb**. . .

RUDOLF — Coście poprzednio robili?

WOJCIECH — Ryby łowiłem, bo ja, wielmożny panie, rybakiem jestem z dziada pradziada.

RUDOLF — Hm. . . **zgadza się**. Ile macie lat?

WOJCIECH — A bo ja wiem. . .

RUDOLF — Co to znaczy — a bo ja wiem? — powinniście wiedzieć. Pytam was bardzo grzecznie. Krzywdy wam nie zrobię. Mówcie!

WOJCIECH — Za ruska, kiedy była wojna z japońcem, miałem cosik 30 років. . . Tak. . . 30 років miałem, bo moja nieboszczka — **panie świeć nad jej duszą** — była młodsza ode mnie o 5 років. . . Dobrze gadam. . . Żeniłem się wtedy i

bez to pamiętam . . . Później urodził się Stasiak . . . Nie, chyba nie Stasiak . . . pewnikiem Bolek . . . juści, że Bolek . . .

RUDOLF — Nie dojdę z wami do ładu. Mówcie krótko i węzłowato ile macie lat?

WOJCIECH — Wielmożny panie, dyć przecie ja urodziłem się dość dawno i nie pamiętam.

RUDOLF — Czy ty chcesz, żeby ~~moi chłopcy~~ zajrzeli ci w zęby jak koniowi?

WOJCIECH — Łooo . . . Niech się lepiej nie trują, bo ja i tak zębów nie mam. . . Onegdaj ten żołdat, złamał mi dwa ostatnie zęby. . . ooo . . . jeno pieńki ostały . . . Obaczcie . . .

RUDOLF — Ja w takim razie powiem wam, ile macie lat. 66!

WOJCIECH — 66? To ja nie jestem jeszcze taki stary. A wielmożny pan skąd o tem wiedzą?

RUDOLF — Ja wiem wszystko.

WOJCIECH — To poco pan się pyta?

RUDOLF — To moja rzecz. Jakiego jesteście wyznania?

WOJCIECH — Wyznania? O, trudno powiedzieć. Musiałbym się księdza jegomością zapytać, ale księdza niema, bo go gdzieśik wywieźli i kościół zamknięty.

RUDOLF — Do jakiego kościoła chodziliście się modlić?

WOJCIECH — Do świętego Stanisława.

RUDOLF — Dureń! Jesteście rzymsko-katolickiego wyznania.

WOJCIECH — O, to, to, to właśnie! Zgadł pan.

RUDOLF — Gut. Hm . . . Ten gagatek nie wygląda na podejrzanego.

WOJCIECH — To już wielmożny pan skończył się pytać?

RUDOLF — Nie! Dopiero zaczynam. Powiedzcie mi, Wojciechu, dlaczego bez pozwolenia opuściliście miejsce swego zamieszkania?

WOJCIECH — A co, to nie wolno bez pozwolenia wyjść gdzie bądź?

RUDOLF — Nie wolno . . . Chyba rozporządzeń nie czytacie.

WOJCIECH — Juści nie czytam, bo ja niegramotny jestem. Na książce od nabożeństwa, ale tylko na swojej, to czytać potrafię.

RUDOLF — Mnie to nic nie obchodzi! Powiedzcie wyraźnie, w jakim celu przyśliście do tej wioski?

WOJCIECH — To długa historia, wielmożny panie.

RUDOLF — Mów, chamie, krótko i węzłowato.

WOJCIECH — Niech się pan nie denerwuje. Ja . . . ja będę

mówił. Miałem ja psa — Burek się wabił. Dobry był pies i mądry . . . Na całą okolicę drugiego nie znaleźć . . . Ale pies jak pies . . . wiadomo . . . suki mu się zachciało i poleciał, a ja za nim . . . bo mi szkoda było psa, żeby się nie zmarnował. Mógłby go kto złapać, zabić i zjeść . . . Leciałem za Burkiem i krzyczałem: Burek, Burek — do nogi. Ale Burek nie usłuchał. Poniosło go i tyła . . . aż do tej wioski przyleciał, a ja za nim.

RUDOLF — Na tych chorych nogach?

WOJCIECH — Juści . . . i tu mój Boże, Burek ostatnią parę puścił, bo go żołdaty śtykami zadźgali . . . ach . . .

RUDOLF — Nie okłamiecie mnie . . . to wam się nie uda . . .

WOJCIECH — Ja nie kłamie, wielmożny panie.

RUDOLF — Dosyć tego! Powiedz mi, czy znałeś Jaśka Przaśnego?

WOJCIECH — Juści, że znałem . . . Dyć to przecie mój krewniak.

RUDOLF — Hm . . . zgadza się. Mój kamrat z sąsiedniej wioski dobrze mnie poinformował. Wojciechu, jak długo Jan Przaśny utrzymywał kontakt z partyzantami?

WOJCIECH — Z kим?

RUDOLF — Z partyzantami!

WOJCIECH — A bo ja wiem . . . Jasiak mógłby powiedzieć, ale już nie żyje.

RUDOLF — Ty wiesz, ty bardzo dobrze wiesz! Mów chamie, dopóki jestem dobry!

WOJCIECH — Jak Boga kocham, że nie wiem.

RUDOLF — Co, ty durniu, myślisz, że ja mam czas słuchać twoich bzdur? Chcesz udawać głupiego? Chcesz mnie wprowadzić w błąd? Pamiętaj, chłopie, że jeśli po dobroci nie powiesz, gdzie znajdują się partyzanci, to ja w inny sposób wydobędę z ciebie zeznania!

WOJCIECH — Wielmożny panie, gdybym ja wiedział coś o partyzantach, nie ukrywałbym tego . . . ale ja nie wiem i powiedzieć nie mogę. . .

RUDOLF — Ty jesteś głupi! Brak tobie zdrowego, chłopskiego rozsądku we łbie. Ty napewno chciałbyś mieć na stare lata byt zapewniony. Tak czy nie?

WOJCIECH — Juści, że chciałbym. Zawdy choć ta przed śmiercią — warto byłoby odpocząć, wyspać się na pachnącym sianie, najeść się do syta chleba ze słoniną . . . juści . . . warto byłoby.

RUDOLF — Gdybyś, Wojciechu, wskazał nam drogę do kryjó-

wek partyzantów i przeprowadził nas przez bagna, to ręczę słowem honoru, zostałbyś najbogatszym chłopem na całą okolicę.

WOJCIECH — Najbogatszym chłopem? — powiadacie? Ola-boga! Byłbym gospodarzem całą gębą.

RUDOLF — Słuchaj, gospodarzu, machnij ręką na tych buntowników i powiedz szczerze, otwarcie, co wiesz o bandytach, grasujących w Puszczy Białowieskiej?

WOJCIECH — Ba, żebym to ja wiedział . . . ale nie wiem . . .

RUDOLF — Dostaniesz pięć tysięcy marek, a jeśli twoje słowa okażą się prawdziwe, otrzymasz 15 morgów ziemi, dom nowy, dwa konie, cztery krowy, dziesięć świń, pięćdziesiąt kur, sto kaczek, dwieście gęsi . . .

WOJCIECH — Baj baj . . . będziesz w raj . . .

RUDOLF — Dostaniesz wszystko! Będziesz mógł się ożenić jeszcze. No . . . jak?

WOJCIECH — Ha, ha, ha! Wielmożny pan, żartuje chyba z tą żeniączką i tyła.

RUDOLF — Ależ Wojciechu, ja nie żartuję, ja jestem człowiekiem honorowym i bardzo lubię polskich chłopów, którzy mają trochę oleju w głowach.

WOJCIECH — Ba, kiedy ja oleju we łbie nie mam.

RUDOLF — Nie żartuj, chami!

WOJCIECH — Przecie chamy są głupie. Jeszcze przed wojną nam o tem mówili.

RUDOLF — Więc nie wiesz, gdzie znajdują się partyzanci?

WOJCIECH — Nie wiem, wielmożny panie.

RUDOLF — Chłopcy, przygotować rozpalone żelazo! Ja z tobą teraz innym językiem porozmawiam!

WOJCIECH — Panie . . . jakże to? Jak można?

RUDOLF — Przypiec pięty! (żołnierze wykonują rozkaz)

WOJCIECH — (przeraźliwie) Jezus, Marja . . . Aaaa . . . Jezus Marja . . .

RUDOLF — Powtórzyć operację!

WOJCIECH — Aaaa . . . Jezusie! Aaaa . . .

RUDOLF — Dosyć! Gdzie mieści się kryjówka partyzantów?

WOJCIECH — Ja . . . ja . . . niewiem.

RUDOLF — Chłopie, nie bądź głupi! Dalej, mów prędzej, gdzie znajdują się partyzanci?

WOJCIECH — W Puszczy Białowieskiej.

RUDOLF — Wiem o tem . . . ale w którym miejscu? Gdzie?

Czy znasz drogę przez bagna do kryjówek tych bandytów? Odpowiadaj!

WOJCIECH — Qd tego bólu wszystko w głowie się pomieszało. Już ja nie wiem, co się ze mną dzieje. Puście mnie wolno. Ja nie winowaty . . .

RUDOLF — Wierzysz w Boga?

WOJCIECH — Juści, że wierzę.

RUDOLF — A czy wiesz kto jest największym wrogiem Boga?

WOJCIECH — Djabeł przecie . . . Antychryst . . .

RUDOLF — Gantz gut. A czy wiesz z kim naród niemiecki walczy?

WOJCIECH — A bo ja wiem . . .

RUDOLF — Naród niemiecki walczy z żydostwem całego świata, z żydostwem! Słyszałeś, katoliku!!?

WOJCIECH — Juści, jeszcze przed wojną o tem słyszałem . . .

RUDOLF — Jeśli słyszałeś, to powinieneś wiedzieć, że ci wszyscy, którzy występują przeciwko Hitlerowi, są narzędziem w ręku amerykańskich, angielskich i rosyjskich żydów. POCO więc i ty, chłopie popierasz wrogów, którzy są najgorszą zakalą ludzkości? POCO to robisz?

WOJCIECH — Ja się na polityce nie znam i nie mieszam się do cudzych interesów. Ja jestem chłopem i tyła.

RUDOLF — Czy słyszałeś o polskim księdzu Trzeciaku, który przed wojną uczył takich jak ty durniów świętej prawdy? Powiedz, słyszałeś o księdzu Trzeciaku?

WOJCIECH — Juści, słyszałem. To był Jezuita, który nauczał, że Hitler jest człowiekiem zesłanym przez Boga na ziemię, żeby wytępić zło . . .

RUDOLF — Gut.

WOJCIECH — Ale czy ksiądz Trzeciak powiedział prawdę, to ja nie wiem. Ja się na polityce nie znam. Wiadomo przecie, księdzem nie jestem.

RUDOLF — Wojciechu! Dawniej w Polsce byłeś nędzarzem i nędzarzem chcesz zostać nadal. Przed wojną byłeś parobkiem żydowskim i przywykłeś, jak widzę, do żydowskiego jarzma. Dzisiaj zamiast służyć firerowi z wdzięczności, bo przecie firer uwolnił polskich chłopów z żydowskiej niewoli, ty — występujesz przeciwko firerowi, ty występujesz przeciwko nowemu porządkowi rzeczy i swoim głupim, chamskim uporem

oddajesz przysługę, czy wiesz komu? — ŻYDOM! . . . ty żydowski parobku!

WOJCIECH — Wielmożny pan jest w błędzie. Ja nigdy nie byłem żydowskim parobkiem. Przed wojną w Polsce służyłem we dworze. W czworakach mieszkalem u dziedzica. A przecież dziedzic nie był Żydem jeno Polakiem, patriotą. Polakowi służyłem, a nie Żydowi, proszę pana.

RUDOLF — To wszystko jedno. Twój pan z Żydami handlował. Żydom twoją krwawicę sprzedał i Żydzi się na tem bogacili.

WOJCIECH — Dziedzic też się bogacił. Ale — co mnie to mogło obchodzić z kim dziedzic handlował? Jeśli Żyd pana dziedzica oszukiwał, to nie z mojej winy. Jeśli pan dziedzic miał pretensje do Żyda, to mógł je mieć. Mnie to wszystko tyle obchodziło co zeszlóroczny śnieg.

RUDOLF — Byłeś nędzarzem w dawnej Polsce, więc poco pragniesz powstania nowej, niepodległej Polski? Powiedz, nie bój się.

WOJCIECH — Dlatego pragnę powstania nowej Polski, żeby moje wnuki nie były niczyjemi parobkami i tyła.

RUDOLF — Te myśli wybij sobie z głowy. Urodziłeś się parobkiem i zdechniesz niewolnikiem!!!

WOJCIECH — Umrę wolnym człowiekiem, bo mam duszę wolną.

RUDOLF — Głuptas! (bierze chusteczkę do ręki) Wojciechu, czyja to chusteczka?

WOJCIECH — Oooo, to przecież chustka mojej nieboszczki żony.

RUDOLF — Zobaczymy . . . Wyprowadzi tego dziada do sieni, Alfred! Przyprowadź sołtysa Bruzdę . . .

ŻOŁNIERZ — Jawohl! (wychodzą)

### SCENA 3.

RUDOLF — Hm . . . Jeśli to jest naprawdę chustka Marysi, córki sołtysa Bruzdy, to w takim razie ta dziewczka była w chałupie Wojciecha. Hm . . . Zawiała zagadka! Ale ja trudniejsze zagadki rozwiązywałem . . . Wybadam sołtysa. Będę ostrożny, może wydobędę z niego zeznania, które naprowadzą mnie na odpowiedni ślad. Przedewszystkiem muszę wiedzieć, czy ta chustka jest naprawdę chustką Marysi. (wchodzi żołnierz, prowadząc sołtysa)

### SCENA 4.

SOŁTYS — Słucham wielmożnego pana . . .

RUDOLF — Panie sołtysie, przykro mi bardzo, że w tej chwili jestem zwiastunem bolesnej dla pana wiadomości. Wy, jako ojciec, ponieście wielką stratę, której wam już nikt nie wynagrodzi.

SOŁTYS — O czym pan mówi? Ja nic nie rozumiem . . .

RUDOLF — Wiecie już o tem, że wasza córka zginęła kilka dni temu, wychodząc bez pozwolenia z domu . . . Co się z nią stało nikt z nas nie wiedział. Ale przed chwilą otrzymałem depezę od mego kamrata z sąsiedniej wioski, który doniósł mi, że wasza córka . . .

SOŁTYS — Co? Co . . . moja córka? Mówcie, panie . . .

RUDOLF — Wasza córka, Marysia — nie żyje!

SOŁTYS — Nie żyje? O, mój Boże, ooo Marychna nie żyje . . . ooo nie . . . nie . . . to nie możliwe, to nieprawda, to kłamstwo, to jakiś podstęp!!

RUDOLF — Trupa waszej jedynaczki znaleźli żołnierze w śniegu . . . Dziewczyna zmarła.

SOŁTYS — Zmarła biedaczka, ptaszyna moja . . . pociecha jedyna i podpora na stare lata . . . O, Chryste Panie!!!

RUDOLF — Przykro mi bardzo i żal . . . tak . . . żal mi, że wasza córka nie żyje. Była to zdrowa, silna dziewczyna. Mogłaby pracować na chwałę Trzeciej Rzeszy. Szkoda. Trzecia Rzesza poniosła także stratę. No, to wszystko, co chciałem wam powiedzieć. Możecie odejść. Jesteście wolni . . .

SOŁTYS — Wolny?

RUDOLF — Ja . . .

SOŁTYS — Panie von Bock, zanim odejdę, chciałbym prosić pana o małą przysługę.

RUDOLF — Mianowicie?

SOŁTYS — Pozwólcie ujrzeć ciało mojej córki, pozwólcie — panie . . . Chciałbym pochować. Pozwólcie . . . Dajcie przepustkę i wskażcie drogę . . .

RUDOLF — Dałbym wam przepustkę, nie czekając, aż mnie prosić zaczniecie, lecz w tej chwili nie mam potrzeby tego czynić, a wy nie macie poco chodzić, bo wasza córka jest pochowana.

SOŁTYS — Pochowana? Jakże to?

RUDOLF — Wczoraj nastąpiła odwilż i trupa trzeba było pochować, bo cuchnąć zaczynał.

SOŁTYS — To nie była moja córka! Może to była jakaś inna dziewczyna.

RUDOLF — Nie! To była wasza córka. Jako dowód mogę wam pokazać chustkę. Ale gdzie ją mam? (szuka po szufladach) Donnerwetter! Położyłem do szuflady . . . Ooo . . . Jest! Zobaczcie! To chustka waszej córki — prawda?

SOŁTYS — Pokażcie! Niech obaczę . . . (ogłada) Poznaję, to jest chustka . . .

RUDOLF — . . . waszej córki?

SOŁTYS — Tak, to jest chustka mojej Marychny . . .

RUDOLF — Dziękuję. Możecie odejść, połóżcie tylko chustkę na biurku.

SOŁTYS — Nie odbierajcie. Panie, na pamiątkę ostawcie. Na otarcie łez.

RUDOLF — Nie mogę. Połóżcie na biurku.

SOŁTYS — Dwa lata temu Adam Rzepa kupił Marysi tę czerwoną chusteczkę. Zalecał się chłopak do mojej jedynaczki i chciał się z nią zenić. Kochała go Marychna . . . Byłem rad, że upatrzyła sobie Adama na męża, bo i on ją kochał. Mieli się pobrać, ale cóż — przyszła wojna i rozwiały się marzenia. Inaczej się stało, inaczej. Dzisiaj już Marychny niema . . . Wola Boska!

RUDOLF — Idźcie już, idźcie (wypycha go) A jeszcze jedno — musicie się meldować w tej kwaterze. To wszystko. Żegnam.

SOŁTYS — Marychna, moja Marychna . . . (wychodzi)

### SCENA 5.

RUDOLF — (śmieje się) . . . Ten dureń kompletnie głowę stracił . . . hehehe . . . Co za głupty?! Uwierzył mi . . . . . Żelazny krzyż zasługi ozdobi moją pierś . . . ach . . . co za zaszczyt. Mein Gott! A teraz zapal, Rudolfie, cygare. Piękny jest ten świat i warto żyć na nim, gdy ma się głowę nie od parady . . . Hans! (żołnierz staje na baczność) Przyprawdź z sieni Wojciecha Czerwonkę (żołnierz wychodzi). Będę musiał jeszcze z tym dziadem porozmawiać. Chytry z niego lis i warto byłoby takiego na swoje usługi pozyskać. Cha, spróbujemy.

### SCENA 6.

(Do izby żołnierze wprowadzają Wojciecha Czerwonkę)

WOJCIECH — Ostrożnie, bo mnie nogi bołą. Pan mnie wzywał?

RUDOLF — Ja, siadaj! Chciałem z tobą porozmawiać.

WOJCIECH — Słucham wielmożnego pana.

RUDOLF — Siedząc w sieni, słyszałeś napewno rozmowę, jaką miałem z sołtysem i wiesz, że tę chustkę nosiła Marysia.

WOJCIECH — Ale i moja żona nieboszczka miała taką samą chusteczkę.

RUDOLF — (uderza pięścią w stół) Słuchaj, chłopie! W tej chwili dalsze wykręty na nic się tobie nie przydadzą. Jeśli nadal będziesz mówił to, co mówiłeś poprzednio, kula w łeb będzie jedynym argumentem, który cię przekona, że dłużej nie można okłamywać Rudolfa von Bocka. Masz więc do wyboru: śmierć lub życie. Wybieraj!

WOJCIECH — Byłbym głupcem, gdybym wybrał śmierć. Wybieram życie.

RUDOLF — Gut, sehr gut! Powiedz mi teraz, w jakim celu przyszła do ciebie córka sołtysa?

WOJCIECH — Powiedziałem prawdę — córka sołtysa nie przychodziła do mnie . . .

RUDOLF — A do kogo?

WOJCIECH — Do Jaśka Przaśnego, ale Jasiek już nie żył.

RUDOLF — A co ona chciała od tego zbója? Czy miała do niego jakiś interes?

WOJCIECH — Pewnikiem miała. Wiadomo przecie — chłopak był do rzeczy . . .

RUDOLF — Jasiek Przaśny zginął, bo utrzymywał kontakt z partyzantami . . . Wojciechu, dokąd Marysia poszła?

WOJCIECH — Do partyzantów . . . ale poco poszła nie wiem. Nie mówiła.

RUDOLF — A tyś jej wskazał drogę . . . Co?

WOJCIECH — Juści, wskazałem . . .

RUDOLF — Dlaczego, chamie, od razu mi tego nie powiedziałaś?

WOJCIECH — Bo nie wiedziałem z kim mam do czynienia. Teraz już wiem, że jesteście mądry, że przed wami nic się nie ukryje. Zreśta — miałem czas zastanowić się nad tem, coście poprzednio do mnie mówili o żydach i wogóle . . . Przez całe życie nie zaznałem nigdy nic dobrego. Zawsze głodny byłem, kiej ten pies . . . Chciałbym choć raz w życiu jeszcze najeść się do syta. Dlatego zgadzam się ostać na waszej służbie aż do końca życia . . . Amen.

RUDOLF — Hans, przynieś wódkę, kiełbasę i chleb . . . (żołnierz wychodzi) Wypiję na twoje zdrowie — mój Quislingu . . .



Lecz jeśli zdradzisz mnie, to pamiętaj — czeka cię straszna śmierć, o jakiej nawet pojęcia nie masz. Zdechniesz w kamiennej trumnie, pochowany żywcem!!

WOJCIECH — Oj! (jęczy) Uraziłem się w nogę. Kaźcie, panie, rany opatrzyć na moich nogach, bo gangrena wdać się może.

RUDOLF — Alfred! Przeprowadź z więzienia doktora Brzezińskiego. (żołnierz wychodzi) Jutro, Wojciechu, ruszymy na wielką wyprawę przeciw partyzantom. Ty będziesz przewodnikiem. Gut?

WOJCIECH — Gut! Już ja wam pokażę drogę . . . Hehehe . . . (żołnierz przynosi wódkę)

RUDOLF — Jeśli spiszesz się dobrze, otrzymasz sowitą nagrodę. No, to na pomyślność!

WOJCIECH — Dobra wódka, za Ruska taką piłem . . . Jaką nagrodę wielmożny pan mi ofiaruje. Chciałbym wiedzieć.

RUDOLF — Za zdradę kula w łeb, za posłuszeństwo 1000 marek i zagroda Rzepów.

WOJCIECH — Hm . . . trochę za mało . . .

RUDOLF — Za mało? Jakto? Będziesz poza tem gościem narodu niemieckiego.

WOJCIECH — Byłby to wielki zaszczyt dla mnie — być gościem narodu niemieckiego, ale ja nigdy w życiu nie byłem premierem . . . Za te baty, jakie dostałem, należy mi się jednak większa zapłata.

RUDOLF — Trzeba było odrazu zgodzić się na moje warunki.

WOJCIECH — Ba, a czy wielmożny pan dał człowiekowi namyśleć się, rozważyć wszystko dokumentnie? Musiałem się bronić, bo przyznam się, że ja boję się partyzantów więcej niż diabłów z rogami . . . Gdy te piekielniki dowiedzą się, że ja, Wojciech Czerwonka, wydałem ich, gotowi mnie zamordować i pewnością zamordują, jeśli wielmożny pan nie otoczy mnie opieką.

RUDOLF — Postaraj się więc, żeby partyzanci zostali zlikwidowani, a będziesz spać spokojnie . . .

WOJCIECH — Juści, dobrze pan radzi . . . Ja was zaprowadzę, panie, i bądźcie pewni, że żywa nogą nie ujdzie . . . A wtedy ja będę gospodarzem całą gębą. Każę sobie w Warszawie zęby wjrawić i będę jadł codziennie chleb ze słoniną i słoninę z chlebem . . . aaa . . . A może nawet zostanę stróżem w jakim muzeum niemieckim . . . He?

## SCENA 7.

(Wchodzi doktor Brzeziński)

RUDOLF — O, pan doktor. Witam, witam . . . Jak zdróweczko?  
DOKTOR — Dziękuję.

RUDOLF — Proszę opatrzyć nogi panu Wojciechowi Czerwonce, obecnemu wójtowi w tutejszej gminie, będącemu na moich usługach.

DOKTOR — Wojciech?!!

WOJCIECH — Czego? Patrzysz na mnie jak ciele na malowane wrota. Opatrz nogi, bo jak cię prasnę w zęby, to rodzzonego tatę nie poznasz na łonie Abrahama . . .

DOKTOR — Ty . . . podły i nikczemny zdrajco . . .

RUDOLF — Nie obrażaj w mojej obecności Wojciecha. Opatrz mu nogi i spełnij swój obowiązek lekarski. Apteczka z lekami stoi tutaj. Ruszaj się i to żywo!

WOJCIECH — Na co czekasz? Nie doczekasz się . . . Partyzanci już nie przyjdą. Ja się o to postaram, żeby nie przyszli . . .

DOKTOR — Nie spodziewałem się po was zdrady.

WOJCIECH — Ty może myślisz, że taki głupi Wojtek jak ja nigdy nie zmądrzeje i będzie krew przelewał na darmo? Co to — to nie!

RUDOLF — Hahahahaha . . . Nauka nie idzie w las . . . Jacy my Niemcy jesteście mądrzy!

DOKTOR — Już nogi opatrzyłem.

WOJCIECH — Ruszaj na zбитy pysk do piwnicy!

RUDOLF — Krew aryjska odezwała się w twoich żyłach. Będziesz mógł Wojciechu zapisać się do Volkdeuschów. Alfred, zaprowadź do więzienia tego żyda, a po drodze policz mu zęby. (żołnierz wyprowadza przygnębionego doktora)

## SCENA 8.

WOJCIECH — Panie von Bock, podajcie mi z łaski swojej trochę wódki, bo mnie to żydzisko zdenerwowało . . .

RUDOLF — (nalewa) Pijcie! A ja tymczasem wysię depeszę do miasteczka z żądaniem przysłania kompanji szturmowców. Jutro o świcie na polowanie do borów. Będziemy mieli zabawę. Sam Goering mógłby nam pozazdrościć . . . Napewno dostanę żelazny krzyż zasługi . . .

WOJCIECH — O, napewno dostaniecie krzyż . . . Napewno . . .

KURTYNA  
KONIEC AKTU IV

## AKT 5.

### SCENA 1.

(Izba Rzepów. Hans Miller śpi w ubraniu, leżąc na brzuchu)

ANNA — (ustawia talerze na stole; do izby wchodzi ostrożnie, nieogolony, zarosnięty sołtys Bruzda)

SOŁTYS — Niech będzie pochwalony . . .

ANNA — O, na wieki wieków . . . Przestraszyłam się was, sołtysie . . . Wyglądacie jakoś dziwnie. Proszę, spocznijcie.

SOŁTYS — Postoję, bo zaraz muszę odejść. Przyszedłem tylko poprosić o kawałek chleba. Już od trzech dni nic w ustach nie miałem. (zdejmuje czapkę)

ANNA — Panie sołtysie wy macie siwe włosy . . .

SOŁTYS — Posiwałem z rozpacy i ze zmartwienia. Trzy dni temu uwolnił mnie z więzienia von Bock.

ANNA — Byliście arsztowani?

SOŁTYS — Tak. A ty nie wiedziałś o tem?

ANNA — Nie wiedziałam. Żyję w tej izbie jak w pustelni. Od kilku dni nie słyszałam ludzkiego głosu. Przedwczoraj był tu von Bock i chwalił się, że znalazł na swoje usługi Quislinga . . .

SOŁTYS — Prawdę powiedział. Czerwonka zdradził nas. Ach, niema o czem mówić — wszystko stracone . . . Partyzanci nie przyjdą . . .

ANNA — Ja nie tracę wiary. Von Bock nawet przy pomocy Czerwonki nie wyśledzi partyzantów. Wasza córka sprowadzi pomoc . . .

SOŁTYS — Nie sprowadzi . . . Marychna nie żyje . . .

ANN A — O, Boże! Zabili ją?

SOŁTYS — Zmarła biedaczka. Znalaziono jej ciało w sąsiedniej wiosce . . . Nie ocali już ona nikogo. Moja Marychna, moje dziecko . . . Nie byłem nawet na jej pogrzebie. Jak mnie serce boli (siada) A ty nie płacz . . . Lzy nie pomogą . . .

ANNA — Panie Bruzda, kto panu powiedział, że Marysia nie żyje?

SOŁTYS — Von Bock był tym zwiastunem.

ANNA — Von Bock? A może on was okłamał?

SOŁTYS — Nie okłamał, bo i poco miałby okłamywać? Co by mu z tego przyszo? Jaka korzyść? Żadna. Pokazał mi nawet chusteczkę Marysi . . . Wiesz, tę czerwoną, którą jej kupił Adam na odpuście.

ANNA — To mógł być jakiś podstęp!

SOŁTYS — Co ty wygadujesz. Nie dostrzegłem w postępowaniu von Bocka żadnego podstępu. Oznajmił mi o śmierci Marychny i kazał mi odejść, mówiąc: "Jesteście wolni" . . . Później dopiero pokazał mi chusteczkę, by mnie przekonać, że nie kłamie. Trzeba mi już iść . . . Dziękuję za chleb.

ANNA — Zaczekajcie . . . (myśli)

SOŁTYS — Jak von Bock wróci, może pozwoli mi odnaleźć grób Marychny . . . A . . . nad czem ty tak myślisz?

ANNA — Von Bock oszukał was. Okłamałwas . . . Okłamał!!  
**Słyszycie!?**

SOŁTYS — Ciii . . . Ty masz dobre serce i chcesz mnie pocieszyć. Chcesz wmówić we mnie, że Marychna żyje. Ale nie trudź się . . . Ja już pogodziłem się z losem . . . (chce odejść, Anna łapie go za rękaw)

ANNA — Zaczekajcie, sołtysie — chcę was zapytać o jedno: czy wiecie skąd wziął von Bock chusteczkę Marysi?

SOŁTYS — (drapie się po głowie) Ba, pewnikiem mu jego kamrat z sąsiedniej wioski przysłał.

ANNA — Nie znacie von Bocka . . . On was okłamał. Tę chusteczkę von Bock znalazł przy Adamie. Wojciech Czerwonka przyniósł Adamowi tę chusteczkę od Marysi. Widziałam na własne oczy, jak ją dawał Adamowi.

SOŁTYS — Co? Co ty mówisz? Wojciech Czerwonka tę chusteczkę . . . O, Jezu!

ANNA — Tak . . .

SOŁTYS — Już nic nie rozumiem. Czerwonkę badał przede mną von Bock. Jezu! Poco ja powiedziałem, że tę chusteczkę nosiła Marysia (wyjmuje z kieszeni kawałek papieru i drze na drobne kawałki). Oszuści!

ANNA — Co wy robicie?

SOŁTYS — Już nic nie robię. Podarłem przepustkę, jaką mi dał von Bock. Pozwolił mi chodzić wszędzie. Chcą ze mnie szpicla zrobić, ale to mu się nie uda . . .

HANS — (mruczy przez sen)

SOŁTYS — To ja już pójdę, bo ten tam może się obudzić (wychodzi)

### SCENA 2.

ANNA — Zaczekajcie! Jeszcze chcę wam powiedzieć . . . Poszedł . . . Ach, jak to źle być łatwowiernym. Przed wojną Niemcy okłamywali ministrów, dzisiaj zaczynają okłamywać chłopów. Na

ministrach się nie zawiedli, lecz na chłopach zawiodą się napewno. Wojciech zaprowadzi von Bocka, ale na tamten świat w objęcia Belzebuba . . . A może — kto wie?? Może Wojciech zdradził?

HANS — (przez sen) Heil Hitler, Heil Hitler, Heil Hitler . . .  
aaaa . . .

ANNA — (zaczyna ustawiać talerze na stole) Głupi ślepek!

HANS — Precz z komunizmem! Precz z demokracją! Heil Hitler!

ANNA — Śni mu się, że jest w Berlinie i słucha przemówienia Hitlera . . .

Nie mam . . . Nie wolno mieć ani sumienia, ani duszy, ani serca . . . Nie wolno! (ryczy) Czego wy chcecie ode mnie? Precz. Ooo . . . Trupy, wszędzie trupy i zgłiszcza . . . Wesele trupów . . . Ja nie chcę z wami tańczyć . . . Dokąd wy mnie prowadzicie? Dokąd? Na groby dzieci? Precz! Oooo . . . idą matki . . . cały korowód matek, które zabiłem . . . Jak one płaczą żałośnie . . . A niech płaczą . . . niech skomlą suki . . . Precz, bo jeszcze raz pozabijam. Ja nie mam sumienia . . . Precz!!! Bo zabiję! (siada na łóżku) ooo . . . Gdzie ja jestem? Mein Gott!

ANNA — Jaki on straszny! (Hans jest nieogolony)

HANS — Nie mogę spać. Anno, podaj mi wódkę . . . podaj mi wódkę . . .

ANNA — Proszę do stołu. Kolacja jest gotowa (Hans wstaje i idzie po omacku)

HANS — Danke schon . . . (siada, bierze butelkę wódki i pije z niej; zaczyna jeść łapczywie; bierze do rąk kurę i żre)

ANNA — Obżartuch . . . pfe! . . . i takiego jeszcze święta ziemia nosi.

HANS — Co tam mruczysz!?

ANNA — Dziwię się, że pan — ma taki dobry apetyt . . .

HANS — Wszyscy Niemcy dzisiaj mają dobry apetyt . . .

ANNA — Szczególnie ci, którzy nie mają sumień . . .

HANS — Sumienie nie jest potrzebne Niemcowi.

ANNA — Niemcy podobni są do zwierząt.

HANS — Ja . . . bo odznaczają się dziką odwagą.

ANNA — Powiedz raczej, że odznaczają się zwierzęcym apetytem i żarłocznością.

HANS — Podobasz mi się, bo ja na ciebie mam apetyt . . . Anno, gdy von Bock wróci z wyprawy, pojedę do faterlandu, bo już tor kolejowy zreperowany . . . Zabiorę ciebie do mego majątku . . . Będziesz mi usługiwać . . . Ja jestem bogaty . . . Pojedziesz?

ANNA — Nie!

HANS — Każę uwolnić twego brata . . .

ANNA — Dziękuję za łaskę.

HANS — Jakaś ty głupia . . . Pomyśl, czy nie lepiej zgodzić się na moją propozycję? Zastanów się . . . Słyszałaś napewno, że w domach nierządu takie jak ty umierają z wycieńczenia bardzo prędko . . . Miesiąc pobytu w takim przytułku zabija najsilniejszą kobietę, a ty jesteś słaba . . . Ja ciebie kocham, Anno . . .

ANNA — Od kiedy to bestja potrafi kochać?

HANS — Hahahaha . . . Ja ciebie kocham tak jak tę kurę . . . którą nasyciłem głód! . . . Ja już z tobą dłużej żartować nie będę. Rozbieraj się!

ANNA — Oficer, kawaler żelaznego krzyża zasługi, bohater Trzeciej Rzeszy . . . hahaha.

HANS — Milcz! Kładź się do łóżka . . .

ANNA — Nigdy!

HANS — Nie chcesz po dobroci, to w takim razie . . . (klaszcze w dłonie)

### SCENA 3.

(Do izby wchodzi żołnierze)

ŻOŁNIERZ — Starszy strzelec, Hans Kaufman, melduje się posłusznie na rozkaz.

HANS — Związać tę dziewczkę i rzucić na moje łóżko . . .

ŻOŁNIERZ — Jawohl. (rzucają się na Annę i wiążą pasami)

ANNA — Precz szubrawcy . . . Ratunku . . . Ludzie . . . ratunku . . . O, mam . . . (kopie, gryzie itd.)

HANS — Zakneblować usta . . . Później będzie mogła kwiczeć na cały głos . . .

(żołnierze wykonują rozkaz, kładą Annę na łóżku)

ŻOŁNIERZ — Gotowe.

ŻOŁNIERZ — Panie poruczniku . . . my . . .

HANS — Później wam zapłacę, bo nie mam przy sobie pieniędzy . . . Ale dam wam papierosy . . .

ŻOŁNIERZ — My jesteśmy głodni, panie poruczniku.

HANS — Sprzątnijcie resztki ze stoła . . .

ŻOŁNIERZE — Danke schon . . .

HANS — Bitte schon. (żołnierze wychodzą, śmiejąc się)

ŻOŁNIERZE — Heil Hitler.

HANS — Heil Hitler. (wychodzą) Wystarczy im rzucić resztki ze stoła a będą wrzeszczeć całą pierśią: Heil Hitler . . . Das

ist gut... A teraz zabawię się po oficersku... (zacierając ręce)  
Von Bock miał rację, że Polki należy brać siłą... Gdy znudzi  
mnie ta uparta Polka, oddam ją żołnierzom. Będą później jeszcze  
głośniejsze krzyki — Heil Hitler... (Z DAŁĄ STRZAŁY, O-  
KRZYKI) Was ist das?... (SZAMOTANIE ZA DRZWIAMI;  
STRZAŁY)... Mein Gott! Czy to czerwone djabły...

#### SCENA 4.

(Do izby wpada Bolek)

HANS — Kto tu?

(W ODDALI STRZAŁY Z KARABINÓW MASZYNO-  
WYCH)

BOLEK — Anno...

HANS — Kto tu!? (Bolek uderza w zęby Hansa, który pada na  
ziemię, obalając stół) *wywlękną Goldachow*

BOLEK — Anus... (uwalnia ją)... Kochana... Zdążyłem w  
samą porę...

ANNA — (wybuchając płaczem) Bolek, mój Bolek... (całują się;  
STRZAŁY CICHNĄ)

#### SCENA 5.

Do izby wchodzi Józek, Adam, Doktor, sołtys, Marysia)

ANNA — Józek... Adam... Marysia... O, bracia i siostry...  
(WITAJĄ SIĘ)

HANS — (siedząc na podłodze) Kto tu? Żołnierze, na pomoc!  
(KLASZCZE W DŁONIE)

JÓZEK — Co to za pasażer?

ANNA — To on znęcał się nade mną! Oficer, Hans Miller!...

HANS — Kto wy jesteście?

JÓZEK — Polscy partyzanci!

HANS — Litości! Litości! Nie zabijajcie mnie! Ja jestem nie-  
winny... *jak dawno lotnikiem? jaką formacją? na jakim*

JÓZEK — Bruźla, Bolek! Brać go!! *tronie?...*

HANS — Litości... Nie zabijajcie mnie... Ja jestem bardzo bo-  
gaty... Ja zapłacę wielki okup... Moja rodzina da wam 10-  
000 marek...

JÓZEK — Zginiesz!

HANS — Ile chcecie? 100,000 marek? Ile? Ile?...

JÓZEK — Za popełnione zbrodnie faszyci nie okupią się marka-  
mi i złotem, za popełnione zbrodnie muszą zapłacić gardłem.

HANS — Rudolf von Bock pomści moją śmierć!

JÓZEK — Von Bock nie żyje. Zginął w bagnach...

HANS — Litości... Ja jestem żołnierzem... Mnie niewolno za-  
bijać... *jakiego historyka faszyci nie znają...*

JÓZEK — Jesteś zbrodniarzem... zbrodniarzem!

ANNA — Mordercą niewinnych dzieci i bezbronnnych kobiet...

MARYSIA — Jesteś faszystą! My przysięgliśmy faszystom  
śmierć!

HANS — Litości! Towarzysze, ja nigdy nie byłem faszystą...  
Ja jestem demokratą... Słowo honoru, towarzysze...

JÓZEK — Milcz! Brać go! Nas nie okłamiesz... ty bestjo o  
ślepej duszy... Wyprowadzić go przed dom i powiesić na su-  
chej wierzbie...

HANS — Litości... litości... (Sołtys i Bolek wyprowadzają go)

#### SCENA 6.

DOKTOR — Ach... odrazu powietrze zrobiło się czystsze...

ANNA — A co stało się z Wojciechem Czerwonką?

JÓZEK — Zginął jak bohater... Wprowadził Niemców w zasadz-  
kę...

DOKTOR — A ja myślałem, że Wojciech zdradził własny naród.

JÓZEK — Chłop polski nigdy nie będzie zdrajcą i kozłowczykiem.

WSZYSCY — Nigdy!

JÓZEK — Czas w drogę...

ANNA — Dokąd pójdziemy?

JÓZEK — Pójdziemy walczyć... Pójdziemy walczyć o Polskę  
wolną od faszystowskich zbirów, wolną od faszystowskiego bata  
i koncentracyjnych obozów!

#### SCENA 7.

(wchodzi Bolek i sołtys)

BOLEK — Spieszmy się!... Hans Miller fruwa, ale na suchej  
wierzbie...

JÓZEK — Idziemy... Adamie, zabieraj się w drogę... i ty  
doktorze także... *Doktorze Dzieci Karkel*

ADAM — Jestem inwalidą...

JÓZEK — Będiesz pracować w naszej tajnej drukarni... Chodź,  
bracie... Ty, doktorze, będziesz opatrywał nasze rany...

301

BOLEK — A ty, Anuś, będziesz gotować jedzenie...  
 ANA — Ja będę walczyć razem z wami przeciw faszystom.  
 MARYSIA — I ja będę walczyć... (ZABIERAJĄ PODUSZKI,  
 UBRANIA, GARNKI)  
 SOTYS — I ja!  
 JÓZEK — Za mną bracia! Po zwycięstwo!

*Kocon*

Zaczynają śpiewać: Hej strzelcy wraz!)

GŁOS — (śpiew się oddala)

Poszli... Poszli walczyć o Polskę wolną od faszystowskich  
 zbirów,  
 wolną od faszystowskiego bata, wolną od koncentracyjnych  
 obozów.

Gdy przyjdzie wiosna, razem z wiosną,  
 razem zielenią i kwiatami  
 pułki mścicieli krzywd wyrosną  
 lśniące czerwonych kos rzędami...

... Powstanie Polska, bo wstać musi,  
 powstanie wcześniej, niż sądzono,  
 bo na rubieżach Białej Rusi  
 brzaskiem wolności lasy płoną...

Bo już się zbliża krokiem twardym  
 bojowy zastęp awangardy  
 Czerwonej Armji, Polskiej Armji...  
 Słyszę idących. Słyszę już!

MARSZ BOJOWY

Widzę!

W Berlinie drżą żandarmi...

Wali się przemoc w pył i gruz!!!

MARSZ GŁOŚNO

— KONIEC —

Biblioteka Główna UMK



300043343269



Biblioteka Główna UMK



300043343269

Arch. Emigracji  
Biblioteka

Główna  
UMK Toruń

940845

Biblioteka Główna UMK



300043343269

Arch. Emigracji

Biblioteka

Główna

UMK Toruń

940845

